

SEWER

(IGNACY MACIEJOWSKI)

Zugelassen — Leista

Zezwolono

1942 RUGP 11.

MATKA

Powieść.

BIBLIOTEKA

A. G. SYRKINA

== w Wilnie ==



~~KSIĘGARNIA, 2262~~

~~SKŁAD KUT. CZYTELNA~~

~~i Dział Pogładowy~~

~~A. G. SYRKIN~~

~~Wilno, ul. Wielka № 42.~~

Biblioteka Dzieł Wyborowych

WARSZAWA

Druk Bogusławskiego, Świętokrzyska № 11

87572

[Handwritten signature]

Zugelassen — Leista
Zezwolono
1942 RUGR 11.

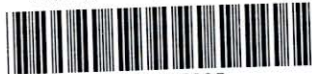
BIBLIOTEKA
A. G. SYRKIN
= w Wilnie =

92262
SKŁAD NUMEROWY
i Dział Pogłosowy
A. G. SYRKIN
Włocławek, ul. Wielka № 22



259692

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0125005

W/239/01

161-

Słońce czerwono wzeszło, rzucając skośne promienie na północne stoki; w górze musiał być wiatr, bo na wierzchołkach czarny las szumiął głucho. Jasno było, mroźno, lecz przez surową czerwoność słońca markotno. Jak okiem sięgnąć, na wielkich płaszczynach pól — śnieg; na wierzchołkach czarne pasy lasu i gdzieniegdzie szare punkciki dachów słomianych, ustrojone niebieskawymi kiatami dymu, rozrywały przerażającą jednostajność. Wydeptaną ścieżyną w śniegu posuwał się ciemny szereg malutkich postaci, pnąc się w górę. Widziany z gościńca, podobny był do sznurka wiązających się paciorków różańca. Na wzniesieniu stała chata o niebieskawym tle i jasnych oknach. Po nią stajenka, stodoła i dwa wysokie brogi; odskakiwały od białego śniegu.

Drzwi chaty się rozwarły, z progu wychyliła się postać wiejskiej kobiety, w czerwonej chustce na głowie, żółtym o czarnych brzegach serdaczku i niebieskawej spódnicy. Przyłożyła rękę do oczu, spojrziała w stronę wydeptanej ścieżki, wołając:

— Chodźcie, moje dzieci, gotowicie mi zmarznąć, a i słonko gna w górę, że do południa niema całych trzech godzin.

Dzieci przyspieszyły kroku. Młodsze na ślizgawicy chwyciły za ręce starsze, łańcuch pomknął raźniej i weselej.

— Ino ostrożnie! — wołała kobieta — jakoś okrutnie oślizgło, a słońko czerwone, będzie ponowa.

Dzieci wydobyły się na małe, odmiecione obejście i wyprostowały. Czerwone od mrozu twarzyczki wyglądały ciekawie z poza płacht i szarych chusców, któremi miały pookręcane głowy.

— Do izby, do izby — mówiła kobieta — tam ciepło, zażrzejcie się.

Przestępując wysoki próg, dostały się do sionki, strzepały nogi ze śniegu i całując gospodynię w rękę, weszły przez otwarte drzwi do izby o dwóch oknach i podłodze. Na ścianie przed łóżkiem, zasłanym pierzyną, przykrytym wzorzystym kilimkiem, wisiały obrazy świętych Pańskich, w środku Częstochowska w złotej koronie. Pod oknami rozciągał się stół przez całą prawie długość izby i przy nim ława.

Przy ścianie leżała wielka księga, oprawna w czarną skórę. Dzieci spoglądały na nią z pewną bojaźnią i czcią. Kobieta, usiadłszy na skrzynce, odwiązywała płachty i chustki, któremi dzieci były otulone. Elementarze wypadły na podłogę.

— Zażrzejcie się, kości wyprostujcie i do nauki. Musimy wszystko se przepowiedzieć, bo to dziś egzamin. Przyjdą matki, może i który rodzic, radzi usłyszeć, co umiecie. Pamiętajcie, żebyście mi nie zrobili wstydu.

Dzieci siadły na ławie, porozkładały na stole elementarze; zaczęła się nauka.

Pierwszy wystąpił Niedźwiecki, czytał płynnie i równo. Drudzy powtarzali za nim szeptem, wodząc po elementarzu wskazówkami. Po Walku Niedźwieckim przyszła kolej na Zośkę Potoczko-wną, najlepszą uczennicę. Czytała płynniej i szybciej od Walka, za co chłopiec radby ją wytluc z zazdrości, lecz nie śmiał.

Kolejno szło czytanie z jednakową prawie wprawą, dzieci umiały niemal na pamięć elementarz. Zaledwo troje najmłodszych sylabizowało.

Kobieta wzięła z pod ściany wielką księgę. Zamykana była na żelazne klamry. Dzieci z pewną obawą tajemniczej czci i ciekawości patrzyły na nią.

— To są — mówiła — „Żywoty świętych” księdza Piotra Skargi, spisane w wielkiej mądrości i gorącym nabożeństwie. Księga stara, w rodzinie mojej już mieszka pono od dwustu lat. Cudem przysła, cudem ostaje. Dużo razy była ona w ogniu, zawsze ocalała. Prawie że sama święta, tyle w niej światła i świętości. Elementarz umiecie, to teraz z niej będziecie czytały.

Klamry przy pociśnięciu odskoczyły, księga się rozrtwarła na życiu świętego Stanisława.

Posunęła książkę Walkowi.

— Czytaj — rzekła — żywot męczennika i patrona ziemi krakowskiej, zabitego pod Krakowem na Skalce.

Chłopak wstał, pocałował świętą księgę, jak biblię, i zaczął czytać. Z początku ze wzruszenia i szacunku szło mu chropawo, zacinął się, lecz niezadługo oswoił się z drukiem i pomykał śmiało. Dzieci słuchały, słuchała i kobieta, chociaż umiała na pamięć, tych silnych zdań, twardych okresów,

wielkich porównań, wypowiedzianych mową, zbliżoną do mowy ludu. Walek się zmęczył, cudowną księgę przesunęła do siebie Zośka i dalej z wielkich liter czytała. Dzieciom z tych czarów i ciekawości rozwarły się usta; zasłuchane, zapatrzone w księgę, siedziały nieruchome.

— Idą matki — szepnęła gospodyni, książkę zamknęła na klamry i odsunęła pod okno. — Naprzód elementarzel!...

Wybiegła, stając na ścieżce obejścia.

— Witajcie — wołała — a to dziś wielgi dzień, ho, ho, patrzcie, jest i Rakoczowa, Niedźwiedzka, Wielowska i Michalczewska, to już nkiego nie brakuje. Chodźcie, chodźcie, spoczniecie, stroma góra, niema co mówić.

Matki zaczęły sapać i wzdychać. Gospodyni przypadła do Rakoczyny, ucałowały się, ujęła ją pod ramię i poprowadziła.

W izbie pozdejmowały kożuszki, przywitały się z kumą, bo choć była uboższa od nich, ale z wielkiego rodu Smerczyńskich za chłopem Porębskim, słynąca rozumem, do wszelkiej porady, na wszelakie dolegliwości i wielką wymowę.

Każda z kobiet kładła na łóżko zapłatę za naukę jej dziecka. Garniec grochu, woreczek krup, garnuszek masła, serek, faszeczkę bryndzy. Potem całowały się z gospodynią, która mówiła wzruszona cicho:

— Bóg zapłać! — Z szafki wyjęła przygotowaną flaszkę wódki, piły po kolei, przegryzając jarmarczną kukielką.

Zaczął się egzamin. Kobiety usadowiły się, gdzie która mogła. Na dany znak dzieci powstały,

przeżegnały się, odmawiając głośno pacierz, a zaraz potem zaczęło się czytanie z elementarza. Szło szybko i głośno. Matki wytrzeszczały oczy, wrzuszając radośnie głowami.

Na zakończenie Porębska przysunęła wielką czarną księgę przed Walka. Kobiety z uszanowania przed tajemniczą świętością powstały. Klamry odskoczyły, kobieta otworzyła książkę na żywocie świętego Stanisława; matki zapały oddech, słuchając.

Chłopiec czytał płynnie i wyraźnie, po nim Zośka. Ciekawa historia brała za serca, wypełniając umysły nadprzyrodzonymi fantazjami. Świętość stawała przed niemi, otwierały ją ich dzieci i tajemnice czarnej księgi odchyłały.

— Nie próżnowaliśmy — rzekła z pewną dumą Porębska, widząc zachwyt kobiet. — Dosyć na dziś, dzieci wracajcie do domu, a przychodźcie w poniedziałek, jutro lecę do chłopców, w niedzielę na noc wrócę.

— A bójcie się Boga, siedm opętanych mil na taki mróz, to i wietrzyisko się zerwie.

Matki ubierały dzieci na drogę, tymczasem Porębska mówiła wesoło:

— Nic mi się nie stanie, radość będzie mnie gnać, tęsknica popychać.—Nie lecę to do własnych dziecetek?... Już się obraca na trzeci miesiąc, jakem ich nie widziała. A może one tam głód mrą? Biedaki, ani to dobrze odziane, ani na noc okryte, księża gnają do nauki, ażę strach.

— Bo i po co dwóch pchać do szkoły? — Za ciężko na was odrazu dwóch — odezwała się Rakoczyna.

8
Porebska wystraszona spojrzała się przez okno, odetchnęła.

— Dobrze, że mój nie słyszał. A laczegóż to jeden ma wszystko wiedzieć, a drugi nic? Laczego światłość ma na jednego spływać, a drugiemu skąpić, drugiego mają ciemności ogarniać. Zapracuję się, ręce pourabiam, nogi pouchodzę, a dam naukę obydwom.

— Dwóch chcecie mieć księżmi?..

— A choćby dziesięciu — a niech będą czem no chcą, niech wrócą do chałupy, na zagon, ale niech rozum mają i tę wielką świadomość rzeczy Boskich i ludzkich, a światłość wiekuista niechaj ich nie opuszcza za życia i po śmierci!..

— Amen — powiedziały kobiety, pochylając głowy.

Dzieci odziane wybiegły, staczając się po ścieżce wśród wrzawy i wesołości na dół do gościńca.

— A niechże Bóg broń, abyśmy wam radzili chłopców z konwiktu odbierać. Tyło się tak bez to mówi, czy uradzicie na dwóch. Harujecie i dzieci uczycie, ale czy to wszystko wystarczy?..

— Póki starczy — odpowiedziała. — Nie jestem ci taka już stara, na jesień obróciło mi się na trzydziesty rok. Bóg mi daje zdrowie, trzeźwość, to i jakoś wierzę, że mnie Najświętsza Panienska nie opuści.

Położyła rękę na czarno oprawnej księdze.

— Gdybyście wiedziały, jakie się cuda dzieją na świecie, jak malutcy, uzbrojeni w łaskę Boską, do wielkich rzeczy wąskimi ścieżynami dochodzą! O! moje kochane kumy, pobłogosławiłybyście mnie

9
na drogę i powiedziały: idź, bo spełniasz Jego wolę świętą!

Czuć było w głosie Porebskiej wielką wiarę, a w mowie jej czarną księgę, w którą się wczytywała. Kobiety siłę księgi odczuły i chórem powiedziały:

— Błogosławimy!..

Najbogatsza Rakoczyna dodała:

— I co będziemy mogły, pomożemy.

— Co się da poświadczyły kumy, a Michalczewska zakończyła:

— Uczycie nam dzieci galanto, że nie ma żadnej przygany. Do kościoła z książkami chodzą, znają dobrze pacierze, że nie będzie żadnego fransunku przy pierwszej spowiedzi, a co ważniejsza przy zapowiedziach. Jegomość nie będzie się gniewał, ciskał, odgrażał, że ślubu nie da. Za to my przecie musimy co nieco pamiętać o waszych chłopcach.

— Bóg, który wydobył Jonąsza z paszczy wieloryba, uratuje i moich chłopaków. A że cuda często robi przez dobrych ludzi, to dziękuję wam kumy za to, że jesteście świętej Jego woli opatrnością.

Kumy uczyły się dumne, że zostały opatrnością świętej Jego woli.

— A kiedyż lećcie do dziecków? — spytała Rakoczyna.

— Choćby dziś, zawinę w tobolek, coście przyniosły za naukę i pognam. Radabym tam już być. Cięgiem mi się śnią bledziuscy ze świecącemi z głodu ślepkami. Antek wytrzyma, twardy jak

rzemień, ale Władek dopiero ma na dziewiąty rok, delikatne, jakby jakie pańskie dziecko.

— I pocóżecie tak rychło chudziaka z domu wygnali?

— Jeden przy drugim, obom przecie raźniej razem. Starszy kończy szkołę na przyszły rok, a młodszego gospodarz nie chciałby puścić samego.

— Może i gospodarz mają racjom, że choć jednego chcą zostawić na zagonie i oddać mu gospodarstwo. A któż mu będzie na starość pomagał?

Porebska się obejrzała trwożliwie.

— Cicho, cicho mojeściewy, boję się, żeby nie usłyszał, bo znowu gotowa obraza Boska. Będzie miał przecie zięcia...

— Syna odegna z roli dla zięcia? — zawołała Michalczewska.

— Cicho, bójcie się Boga! Jeśli zechce który z synów wrócić na rolę, to go przecie nikt nie będzie odganiał; niech wróci na ojcowiznę, ale z rozumem, ze świadomością.

— Wróciłby z miasta, od urzędu, od państwa, od dobrego jadła?...

— Ho, ho i tu może przecie jeść galanto.

— Może... coby nie, ale Podhale, biedne, zięmia zimna jak lód.

— Dajcie pokój, dość czasu — mówiła szybko Porebska, chcąc urwać rozmowę, jak to czynią wszyscy idealisci, których trzeźwi usiłują oblać zimną wodą. — Tymczasem niech się uczą na chwałę Boską i pociechę ludzką.

Zaczęła układać przyniesione podarki za naukę. Gospodynie pożegnały się i odeszły. Zostały Rakoczyna i Michalczewska.

— Nie gniewajcie się, moja kumo — odezwała się Rakoczyna — przecie ludzie ludźmi, muszą powiedzieć to, co myślą i jak im się zdaje, że lepiej...

— Ale nich się nie wtrącają do moich dzieci. Matka najlepiej wie, co im potrzeba.

— Prawda, ale widzicie, bo...

— Życie oddam, siebie steram, zagłodzę się, a dzieckom nie odmówię tej manny, co z nieba płynie, rozumiecie?

— Rozumiemy! o jej!...

— Matka Boska powiedziała mi: czyni, co ja ci rozkazuje, i ja biedna służebnica czynię jej wolę. I czegoż ludziska chcą jeszcze...

— Niczego.

Porebska odwróciła się szybko.

— Drugich elementarzy potrzeba dla waszych dzieci, te umieją na pamięć.

— A są drugie?...

— Na każdą klasę nowy. Kupiłabym w Limanowy, gdybyście dali, swoich nie mam.

— Ja daję ja swojego chłopaka — rzekła Rakoczyna.

— A ja ja Zośki — i Michalczewska położyła na stole pięć szóstek, za nią Rakoczyna.

— Tylko targujcie, moja kumo, o grajcar dziś trudniej, aniżeli dawniej o złotówkę...

— Nie uczcie mnie tego, bom biedniejsza od was; — zagarnęła ze stołu dziesięć szóstek i rozśmiała się pocztwie, co ośmieliło kobiety.

— Moja kumosiu, chciałyśmy się jeszcze poradzić.

— Mówcie — przerwała.

— Drze ci mnie po kościach na każdą zmianę, że se rady dać nie mogę — zaczęła Rakoczyna.

— A mnie po plecach. Zobaczcie ino do czarnej księgi, może co wyczytacie na te dolegliwości.

Porębska nacisnęła klamry, odskoczyły. Na ostatnich ośmiu wyklejonych kartach były wypisane rozliczne choroby i skuteczne na nie lekarstwa.

— Zaraz, zaraz — mówiła, wodząc palcem po kartach papieru.

— „Darcia“ — wyczytała — jest i lekarstwo. Naprzód bolejące ciało wytrzeć mrówczanym spirytusem, a potem smarować kociem sadłem, a gdyby tego nie było, to i psiem poskutkuje, tylko dłużej trzeć.

— A zkadże wziąć i jednego i drugiego?

— Od czegoż hapteki?

— Moja kumosiu kupcież la mnie.

— I la mnie, bardzo was proszę. Życie się przykrzy z tym bólem.

— La czego nie; w Limanowej kupię i przyniosę.

— Byle ino pomogło!

— Chyba ta księga nie kłamie, A jeśli kłamie, to i ja z nią. Cóż na to poradzić?

— No, no, ino tak się mówi, bo wszystko w rękę Boskiem.

Kumy wydobyły z kieszeni serdaków gałganiki, rozwinęły je i radząc, szepcząc, licząc, ułożyły na stole dziesięć szóstek.

— Dajemy wam całego papierka, po połowie na każdą. Tyło kupcie koniecznie kociego, bo ino do kociego mam przekonanie.

— Sadła wszystkie są w haptęce.

— Prawda, no to bądźcie zdrowi, krzepcie się, idźcie z Bogiem, chłopaków pozdrowcie i wracajcie zdrowi, byle nie z próżnymi rękoma.

Porębska pożegnała kumy, odprowadziła przez obejście do bramki i wracając, wpadła do stajenki.

— Maryś gdzieżeś?

— Tu — odezwał się cienki głosik trzynastoletniej dziewczyny, zatykającej szpary w ścianie mchem.

— Lecę dzś do chłopców do klasztoru, słyszysz?

— Bójcie się Boga i znowu mnie samiuską zostawicie z trojgiem bydła i tatusiem. Czyż ja sama uradzę?

— A bo to pierwszy raz zostajesz? Codzień jesteś starsza i rozumniejsza.

— Ale w zimie pierwszy raz, wszystko na mojej głowie. Matusiu nie uradzę i boję się nieszczęścia.

— Cicho, cicho, nie lamentuj, żeby tatuś nie usłyszał. Gotów mnie jeszcze nie puścić. Zośkę Niedźwiecką ściągnij na noc, to ci pomoże ziemniaków uskrobać i rano bydło opatrzyć.

— Na jedną noc, a na drugą?...

— Przecie ja muszę lecieć. Chcesz, żeby ci bracia z głodu poumierali?

— Niechże Bóg obrania, ale matusiu ludzie mówią, żeście się nie na swoje rzeczy porwali. Chłopcy nie wytrzymają w takiej biedzie, a my skapiejemy. Ludziska mówią, że to dopiero początek, a co będzie dalej?

— A Matka Boska, a Święci Pańscy, a słodkie Imię Jezus, to nic?...

— Żeby ino chcieli pomódz!...

— Chcą. Chodź do izby, popatrz, co to gospodynie przyniosły za naukę swoich dzieci; wystarczy do świąt.

— A dalej matusiu, co?...

— Dadzą znowu.

Usiadła na mchu, Maryś przy niej.

— Widzisz, taka już jestem zawzięta i taką ci mam siłę, jakby z innego świata, i taką wiarę, że gdyby Pan Bóg nie dał i chłopcy wrócili, czuję, żeby mi serce spekało i z bólu bym padła.

Objęła Marysię w pól i przycisnęła. Pocałowały się.

— No, no, może Matka Boska ulituje się i jakoś pomoże. Bo przecie i radabym, żeby nasze chłopaki wyszli na ludzi. Może doczekamy, że Antek będzie proboszczem w Porębie?... Któż ta wie? Matusia matka proboszcza, a ja jego siostra. Przecie to miło!...

— Miło, miło — odpowiedziała roztargniona — będą tem, czem Pan Bóg da, do czego będą mieli ochotę.

— Chłopu jakoś najmilej, kiej księdzem zostanie i wróci na wieś do swoich.

— Zkądże to wiesz?

— Tak ludzie mówią matusiu.

— O tem potem, byle ich przepchać przez szkoły. Ale czem, ale jak? — pomyślała i westchnęła.

Ciarkę ją przeszły ze strachu, zerwała się, żeby złe myśli odegnąć.

Odganiać straszne myśli od siebie było dla niej jedynem lekarstwem na biedę, odganiać je i iść naprzód, powtarzała wobec każdej obawy, każdego niepowodzenia.

— Chodźmy do izby. Mech utkasz. Kiedy wrócę, pomogę ci. Pomogą Walek, Rakoczy i Zośka po nauce. Jeszcze mrozów wielkich niema.

Zwróciła się do krów.

— Czarnula i Kwiatka, bądźcie zdrowe, chowajcie się dobrze, mleka nie skąpcie, a słuchajcie mnie Marysi!

Krowy obejrzały się, patrząc żałośnie na matkę i córkę.

— No, no, wróce, nie markoćcie!...

Wyszły razem.

— A jakże będzie z tatusiem? — szepnęła Maryś. — Okrutnie zły, gdy matuś leca.

— Czy to nie jego dzieci, czy co? Chce je widzieć na marach od głodnej śmierci?... Ja, matka, robię, co mogę, ciulam, zbieram, lecę. To przynajmniej niech cicho siedzi, kiedy nic nie wynoszę z chałupy i grajcara od niego nie żadam. Cóż to, do dzieci mi nie da iść?!...

— Okrutnie wyrzeka, kiej matusi niema.

Weszły do izby.

— Niech se narzeka, a dziecka jego nie narzekają, siedząc o głodzie w szkole? Patrz, tyle kumy naznosiły! Jest i dwadzieścia jaj, mam swoich dziesięć, żebyś ino ojcu nic nie gadała, będzie pół kopy, dostanę za nie blisko papierka, będą mieli grajcar na papier, pióra, ołówki, na co się zdarzy. Byle naprzód, a straszne myśli odleca!... Patrz!

Pokazała łóżko zastane wiktuałami.

Liczyły, układały, wtem wszedł do izby Szymon Porębski, podobny do wszystkich Porębskich, cienki a śmigły, o oczach czarnych jak węgiel, długich włosach, rozdzielonych na środku głowy, twarzy pociągłej, dużym orlim nosie, a i o zasepieniu Porębskich. Ogolony, podobny był do jastrzębia, co się gnieździ na wysokich wierchach, a na żer w doliny zlatuje. Maryś pocałowała ojca w rękę, żona chcąc go odrazu wziąć, również przycisnęła rękę jego do ust.

— Szymuś, zmarłeś, napijże się wódki, co ją Rakoczyna na poczęstunek do egzaminu przyniosła. Schowałam ją ciębie.

Porębski zrzucił gunię, rozpiął serdak, kapełusz ściągnął z czoła.

— Przecie się skończyło to dukanie w domu, że do chałupy wleźć nie było można i odetchnąć.

Pokosztował i wypił resztę wódki z flaszki, usiadł na ławie, żona postawiła przed nim chleb, masło i kozik. Wszyscy Porębscy są łakomi na chleb z masłem, a Szymon nie odrodził się od swoich.

— A co to? — zapytał, pokazując na łóżko.

— Od dzieci za naukę, dla naszych dzieci.

— I znowu djabli cię będą nosić po świecie, a żadnego opatrunku w domu i oborze nie będzie.

— Nie djabli, ale aniołowie święci, mój Szymusiu, jeśli lecę do twoich dzieci. Im się jeść chce. Tobie miło, że siedzisz w ciepłej izbie. Napileś się wódki, a teraz jesz chleb z masłem.

Porębski uderzył pięścią w stół.

— Mogli zostać w domu, siedzieliby tak samo i jedli ze mną.

— Zostać na tych dziesięciu morgach jałowej ziemi i krzakach jałowcu, gdzie się kwiczoły pasą i wszystkim razem z głodu zdechnąć. A po cóż Pan Bóg dał ci dzieci z głową, pamięcią i rozumem?... Po to, żeby ci były podporą na starość. Ale trzeba na nią zapracować.

— Lenię się? — krzyknął Porębski. — Cały Boży dzień z siekierą w lesie.

— A niech mnie Bóg obrania, abym ci rzucała w ślepią lenistwem, abo pijatyką. Tyło widzisz i dzieckom trza dać czas na naukę, a że o głodzie żyć nie mogą...

— Cóż dam, kiej sam nie mam. Co zapracuję, wystarczy za ledwo na podatki, na procenta w kasie i sól. Gunia jak rzeszoto, serdak i buty łata na łacie — wystawił nogę.

— A ja od czegoż? — zawołała śmiało, widząc, że mąż mięknie.

— Babska robota — Szymon ręką machnął.

— Posłałam ich za swoje, ubrałam za swoje i żywię za swoje.

— Że aż my z Marysią rzemyki na brzuchach przyciągamy.

— A to wasz? — wskazała na łóżko i zaśmiała się. — Gdyby was było trzech, ja czwarta, Marysia piąta, wtedy dopiero trzaby było rzemyki i zapaski ściągać. Dwie gęby ubyło, to nie?! A że na nie coś tam dołożysz, to ci jeszcze nędza szpiku z kości nie wysuszy.

— Ale bieda gryzie.

— Któregoż podhalana mie gryzie? Żeby nie gryzła, na to trzeba mieć jak Rakoczy, pięćdziesiąt morgów lasu i polanę na dziesięć wołów.

— Przecieby dziś starszy mógł już na siebie przy traczce co nieco zarobić.

— Bardzo? — chłopcu na jedenasty rok.

— Ale mocny. A młodszy pasłby na polanie woły. Przyjdzie lato...

— Na lato wrócą i dosyć ci się mawysługują.

— I znowu pójdą. Samemu za ciężko. Póki siły jeszcze są, bronie się, jak mogę, ale gdy sił zabraknie, któż mi pomoże?

— Dosyć jeszcze wody upłynie, nim z sił opadniesz.

— Pójdą w świat i osierocą nas. Jakaś ty głupia, że na taką poniewierkę na starość i na zaprzepaszczenie dorobku zezwalasz.

— Wróć!

— A któryż to wrócił, co? Głupi nie jest, żeby wracał, zdejmował surdut, a zawdzięwał serdak i gunię. Pokaż mi takiego. Z Podhala już niejednego dziesiątek chłopca poszedł, a który wrócił?... Co mu tu po nauce, tu trzeba silnych rąk, twardych nóg i głowy na karku do spekulacji, ale nie rozumu z książek. — Chybaby na księdza szedł.

— A właśnie! — zawołała żona — właśnie i ludzie czekają, rychło nie przyjedzie na wikarego, a potem i na proboszcza do Poręby. A co wtedy, jak będziesz miał własnego syna jegomością w Porębie, co?

— Prędzej rosa oczy wyi.

— Wszystko w ręku Boga. A jak nie wyi, to co? Wtedy syn jegomość nas obojga na starość przytuli i skrawka chleba nie odmówi. A na gruncie zostanie.

— Młodszy! — krzyknął Porębski, waląc po

raz drugi w stół, że zaskrzypiał z boleści. — Klnę się na wszystkie świętości, że młodszego nie dam zeżreć nauce. Niech się ino w klasztorze dowie, co potrzeba, nauczy czytać i pisać i niech wraca na rolę pilnować tego, co Bóg dał. Porębscy od wieków gospodarzami w Porębie, pono już piąte stulecie, a co im się stało? I miałbym zaprzepaszcząć dla głupiej nauki rolę i siebie na starość, żeby mnie kto pochować nie miał?

— Któż ci każe młodszego gnać do Krakowa? — zawołała. — Biedniuskie, huderlawe, nikłe, umyślnie go dałam, żeby przy starszym bracie skrzepł.

— Kiedy tak, co innego. Nie chcę zaprzańca, albo jakiego kundla puszczać na grunt, na dobytek, na moje śmiecie, żeby mnie może na starość wywiózł na takach na gościniec i rękę kazał wyciągać. Cóż to, nie znasz Podhalańców? szelmy i chciwe. Porębski, kiej go mam, zostanie na gruncie, a Maryna krowę i stówkę odczepnego, niech się sama z chłopem dorabia.

— Już radziłyście tatusiu z domu mnie wygnać!...

— Siedź do starości i oczy mi zamknij, darmo chleba nie jesz. Tylo tak się mówi, że nie chcę obcego. Nie chcę! — rozdrażniony jeszcze raz krzyknął i pięścią w stół uderzył.

Podczas małżeńskiej pogwary Marysia rozdmuchała ogień na kominie, przygrzała gotowy obiad i rozlała owsiany, omaszczony słoniną żur, utłuczone ziemniaki wysypała na drugą miskę. Jedli we troje. Szymon z nasrożoną miną odgarniał palcem wąsy, matka zamyślona, zamknięta

w sobie. Z niebieskich jej oczu płynęły jakieś rozmarzenie i siła, których nie widzieli Porębski i córka. Marysia uszczęśliwiona obiecaną krową i słówką, szukała w myśli młodego parobka, śwarnego, do ludzi podobnego, mocnego i chętnego do roboty, żeby przecie miał cosik, na czymby można było zacząć pracować. Bo ona się nie poleni, żeby im było do czego się wziąć, skrawek roli, polana.

Gospodyni pierwsza położyła łyżkę, składając w płachtę uzbierane za naukę podarki.

— Już? — spytał mąż.

— Do zachodu słońka niecałe trzy godziny.

— Nie lepiej jutro przed świtaniem wyruszyć?...

— Dolecę na noc do Limanowej. Jutro snadniej mi będzie dopaść przed nocą do klasztoru.

— A zawdziejże się, bo jak wietrzysko się zerwie, gotowaś zmarznąć; widziałas słońko przed południem, jak w ogniu.

— Sam ciężar będzie mnie grzał.

— A wiatr z pod spodu dmuchał i śniegiem rzucał.

Marys położyła na stole pół owsianego placzka, szczyptę tłuczonej soli w gałganku i krajanek sera na drogę, przewiązała matkę przez plecy chustką, zrobiła węzeł na krzyżach, drugą mniejszą otuliła głowę, podała rękawiczki i pocałowała ją w rękę.

— A niechże matuś pozdrowi Antosia i Władka.

Matka przykucnęła, chwytając dwa rogi płachty, w której były złożone wiktuały.

— Zaczekaj! — zawołał Szymon — zniosę ci

zawiniątko na dół, ślizgo, mogłabyś się przewrócić. Odprowadzę cię za wieś, a potem z poza figury skręcę do lasu.

— Widzisz, i ty kochasz dzieci — zawołała.

— Cóż to, nie moje?

— I boisz się o babę, żeby się nie przewróciła.

— Albo nie moja?

— Twoja jedyna. No, daj pyska, gospodarujcie z Maryną i niech się wam nie cni. Z dziećkami zabawię jeden jedyny dzionek, prześpię się u nich i trzeciego dnia jestem tu! jeśli nocą wyjde ze Szczyrzyca.

Szymon ujął płachtę za dwa końce i zawdziął ją z łatwością siłacza na plecy. Żona i córka rzuciły mu na ramiona gunię, kapelusz na głowę. Marysia otuliła matkę; chusteczkę z zawiązanymi piędzmi wsadziła w zanadrze za gorset, odprowadziła do opłotków i wróciła trochę markotna, lecz w głębi serca rada, że sama została na gospodarstwie, jako gospodyni.

Schodzili powoli na gościniec. Porębski w krepciach szedł śmiało, Magdy buty na obcasach ślizgały się, że aż musiała się trzymać opłotków. — Na gościńcu odetchnęli. Szymon zapalił fajeczkę.

— A dowiedz się, jak się przecie uczą i sprawują.

— No, no, o naukę bądź spokojny, wiedza z jaką biedą rodzice się szamoczą, żeby do gęby mieli co włożyć. Antoś ma głowę i rozum, a Władek jeszcze dziecko niķle, biedniuśkie, ale przecie nie jest ostatni i pewno już galanto czyta i pisze jako tako. Pierwszy elementarz do połowy przeszedł ze mną.

Szymon milczał, fajczyne ćmił i szedł, wielkie kroki stawiał, pilno mu było do lasu. Żona prawie w dyrdy biegła za nim, nie mogąc mu nadażyć.

Ludzie, przechodząc, witali ich, Porębskiej życzyli szczęśliwej drogi, pozdrawiali dzieci. Kobieta czuła życzliwość ludzką i sympatję do jej dzieci — i wdzięczna była za nią.

Na lewo za figurą wila się ścieżka, wydeptana przez „światowców” robotników i majstrów, przybyłych zdaleka, u których pracował Porębski.

Stanęli przed nią.

— Szymuś — szepnęła tkliwie Magda — przecie ci robota jakoś idzie.

— Ale trzeba przykładać ręce i sił nie żałować — odparł chłop, prostując się.

— I nie zabraknie ci zarobku do wiosny?

— Pewno! jeszcze dużo drzewa do obrobienia.

— Szymuś — powiedziała jeszcze ciszej i rzewniej — Władkowi pewno bucięta z nóg zleciały.

— A czy to ja la siebie pieniądze chowam, piję, albo po jarmarkach trwonię.

— Nie pijesz i nie trwonisz, ale Władkowi bucięta z nóg zleciały.

— Zrozum przecie Magda, że składam, abyś mo z długu wyleść, bo potem będę pracował la siebie i na moje dziećka.

— A Władkowi bucięta z nóg zleciały, mróz, śnieg, wiatr, zimno. Czy każesz twemu dziecku bos w zimie latać?

— Ty mu rozkazujesz, boś go z chałupy wygnała. W domu chodziłby w moich starych krepaciach.

— Dziecku naszemu bucięta z nóg zleciały — powtórzyła cicho. — Duszębym oddała, żeby je okryć, lecz cóż, biednam, a zmiłowania nijakiego znaleźć nie mogę. — Łzy ciekące z oczu ocierała końcami wełnianej chustki.

Na łązy od wieków Porębscy byli czuli. Chłop stał zafrasowany, pokorny, a chmurny. W Magdę wstępowała nadzieja.

— Wieleż? — zapytał smutno.

— Kupię podszycie; wiesz przecie, że podszycia za mniej, jak za dwa papierki, na Władka nie dostanie.

— Dwa — powtórzy — to tydzień ciężkiej pracy. Wiele to razy za te dwa trzeba siekierą uderzyć i jęknąć...

— Moc, moc — szeptała Magda — ale i bucięta dla naszego chudziaka wielka rzecz, to wszystko: — dodała — nauka, szczęście, wesołość...

— Nie obeszloby się z półtorem? — spytał Szymon, wyciągając z za pasa gałganek.

— Sam wiesz, że nie — odpowiedziała rozpromieniona.

— Miałem właśnie do kasy odnieść dwie dziesiątki i procent, a tu znowu trzeba będzie cały tydzień na te dwa papierki ciężko siekierą machać.

— A chłopakowi bucięta na cały rok wystarczą!...

Szymon wyjął dwa srebrne guldeny, obejrzał je raz, drugi, i smutny oddał je żonie.

— Ale żebyś mnie już do wiosny nie molestowała, bo chociażbyś się wściekła, nie dam. Za biedny jestem, żeby na mądrość dwóch chłopaków wystarczył.

— No, to daj pyska!

Pocałowali się.

— Będzie, jak Bóg da, mój Szmysiu. Wiesz, że ja la siebie nie chcę złamanego szeląga. — Patrz, jedne jedyne — wyciągnęła nogę — łatanne i, w nich, chociażem przecie rodzona Smerczyńska, do kościoła chodzę i nie wstydzę się, a ludziom, co się śmieją ze mnie, pokażę niedługo dzieci nasze. Wtedy zobaczymy!... — Rozśmiała się serdecznie. — Dziękuję ci za tę litość, coś dzieckom okazał i za tę ciężką pracę, w której sobie nie folgujesz i nic z niej la siebie nie ciągniesz. Niech ci Bóg błogosławi. Widzisz — wskazała ręką — gościnniec leci, leci i ginie w mgle, a ja, malutki robaczek na tym wielkim świecie, samiotka polecę; samiotka, jedna, żywa dusza we mnie, a przy mnie nikogo, tylo jedyny Bóg. I myślisz, że się stracham, że mnie lęk zbiera? Broń Boże, przecie ja lecę do swoich dzieci. Dał mi je Pan, Bóg, to i On będzie o mnie pamiętał.

Rozśmiała się serdecznie, ciepło, jakby przez lzy i poszła.

Porebski rzucił się na lewo ścieżką, udeptaną w śniegu. Rozbierało go, stanął, obejrzał się. — Obejrzała się i kobieta, zęgnęła go ręką, on jej się pokłonił.

— Uściskaj chłopaków od ojca — zawołał głośno, że aż echa powtórzyły.

Magda kiwnęła głową, mówiła, lecz nie słyssał, skłoniła mu się ręką do ziemi i zawróciła. Szymon również mknął na górę, lecz się odwracał i patrzył. Kobieta malała na wielkich płatach śniegu. Zrobiła się z niej niewyraźna plamka, obejmowała

wała ją sinawa mgła, ona w nią wsiąkała, rozptywała się i rozptynęła.

Chłopu tęsknica siedła na sercu. Uczuwał w babie swej jakieś pokrewieństwo do świętych, o których mu wieczorami dziwy czytała. I oni byli dobrzy i pokorni, i oni, jak ona, ścieżkami świata szli do Boga i Najświętszej Panienki. Ona do dziecisk, ale ją Bóg prowadzi.

Bóg ją — szeptał — prowadzi do dzieciek! Wszystko odda, duszę i ciało odda, byle dziecka... Idzie do dzieciek, jak oni szli do Boga. Uczuł jakiś dziwny rodzaj szacunku dla swej baby i zarazem lęku, że opór z jego strony będzie trudny, że rady se z nią nie da i ustąpi, jak dziś ustąpił. To go zabolalo, czuł w głębi serca, że go pokonała, że ona górą i zawdy postawi na swoim.

— Więc cóż — mówił, usprawiedliwiając się — chłopak ma boso latać w zimie na pośmiewisko ludzkie? Nie masz go za co obuć, to weź do chałupy! I prawda, że tak powiedzą!...

Zamyślił się, idąc prędko w górę. Piersiami robił jak miechem, przyspieszał kroku, aby zgnieść w zarodku rodzące się myśli; nic nie pomogło. Baba zwyciężyła go dobrocią, czuł jej moc i panowanie nad sobą...

— Z świętymi, głupcze, chcesz wojować! — zawołał, ocierając rękawem koszuli spoconą twarz. — To tak samo, jakbyś chciał wiatrom rozkazywać, albo słońce zagaścić dmuchaniem. Ona z nimi trzyma, bierze od nich moc — i nie ma rady.

Myślał, serce go bolało, wrodzona oszczędność nurtowała w nim.

— Nie dam się zniszczyć — zawołał —

i Święci Pańscy nie pomogą!... Młodszy musi zostać na gruncie i rolę po mnie objąć. A chuderlawy? to trzeba długi spłacić, kasy zaspokoić, żeby nie potrzebował tak ciężko pracować, jak ja. Wtedy da sobie radę.

Z tem postanowieniem, weselszy i raźniejszy wszedł w las do „światowców“, co, rozpaliwszy ogień, spuszczały drzewo i skórowali je. Szymon obcinał gałęzie i sęki równał. Ciężka praca, wymagająca zręczności i siły, lecz niezłe płatna.

Magda z tobołkiem na plecach mknęła wciąż długim gościńcem. Tęsknota za dziećmi popychała ją, radość z uzyskanych dwóch sztuk srebra rozszadzała jej serce. Radaby przed nocą zalecieć do Limanowy, aby przy dziennem świetle obejrzyć i starzować bucięta...

— Jak oni mnie wyglądają, mój Ty Boże jedyny. Starszy, jak starszy, krzepki chłopak, ale Władus, moje kochane dziecko! Radabym już być pod klasztorem! Będę, ale jutro o tę porę. I za to trzeba dziękować Bogu. A cnęłam też, cnęłam za dziećskami, że po nocy sypiać nie mogłam.

Szła wciąż; słońce, staczając się na dół, krważyło świat. Śnieg i lasy na górach dygotały od czerwieni. Kobieta wpatrywała się w kulę ognistą z uczuciem podziwu, strachu i wzruszenia. Czerwona kula zapadała w nieznaną przestrzeń na końcu świata, milcząca, a choć ognista, nie paliła, zimno od niej szło, wiatr ciągnął i żałośnie jęczał. Szła wciąż, kula ciemniała, chowając się jakby w niezmierną wodę, już do połowy zniknęła, niedługo skrawek tylko było widać, aż cała utonąła... Gwiaz-

dy wysypały się na niebo, wesoło mrugając, chociaż wiatr jęczał od zachodu.

Kobieta stanęła, podniosła w górę głowę, obejrzała się. Czerwień zniknęła, śnieg się białł, gwiazdy wyiskrzzone mrugały.

— Pan Bóg zgasił słońce, gwiazdy rozświecił i znowu jasno, choćby tyle, że drogę widać. Bóg przyświeca matkom, co lecą do swych dzieci.

Zmęczona szła, przyspieszając kroku. Ciepło się jej robiło, wiatr spychał ją z drogi, szła wciąż, ocierając pot z czoła końcami związanej płachty. — Przecie szła do swych dzieci... Im więcej słabła, tem więcej brała ją zawziętość. Umysł jej, wyćwiczony w żywotach świętym, wypełniał ją wiarą w pomoc Boską i miłosierdzie.

— Gdyby wiedział — myślała o Bogu — że nie zdolę, toby mnie nie wypychał z izby, ale on wie, że udolę i prowadzi mnie swemi ścieżkami, a że słabnę, bom kobieta, baba, a nie chłop. Mój jużby był w Limanowy, a ja zajdę zaledwo za godzinę, ale wiem, że zajdę i niczego się nie stracham.

Zatętniło na gościńcu, obejrzała się, lecz nic nie było widać a tętent rósł.

— Jakś koń, albo jego duch ugania z wiatrem po polu i co mi zrobi?...

Obejrzała się jednak po drugi raz, stanęła...

Koń biały, jak śnieg, sapiąc wściekle, leciał gościńcem, para buchała mu z pyska, na koniu czarny jeździec; usunęła się z drogi, przeżegnała i oniemiała ze strachu, patrzyła. Biały koń i czarny jeździec lecieli, ziemia jęczała, bryła śniegu, z pod kopyt konia uderzały ją w głowę, przelecieli! Biały koń rozplynął się w śniegu, jeździec, jak czarna

kula, migotał jej przed oczami, lecz i on znikł, ziemia głucho jęczała i, znowu ucichło... gwiazdy na niebie wesoło mrugały, śnieg się skrzął.

— Co to? — szeptwała. — A słowo stało się ciałem. Boże wielki, co to takiego?

Odpowiedział jej wiatr, jęcząc żałośnie.

— Przeleciał i nie spojrział nawet na mnie. A po coby miał patrzeć nie biedną matkę, co leci do dzieciek. Z matką, co leci do dzieciek, jest Bóg. Może gnał po jaką duszę, co mu cyrograf podpisała za wór złota. Na matkę nie spojrział, bo wie, że z nią Bóg! Koń tylko zwałł mnie w łeb bryłą śniegu z pod kopyta, ale leciuchno, żebym wiedziała, że koń był prawdziwy. Choć zdaje mi się, że białe skrzydła miał u piersi, a jeźdźcowi w oczach zapalone kaganki świeciły, był jakiś lekki, nikły, jakby uwity z mgły i siewia. Słyszałam, zaśmiał się, jak szum i pęd, aż mrowia przeszły, I jeszcze więcej od tego śmiechu ze strachu osłabłam, zwyczajnie, jak kiedy złe obok człeka przeleci...

Zdaleka, niewyraźnie zamajaczała biała luna miasteczka.

— Limanowa! — zawołała — świeci i ciągnie, ale jakież jeszcze wielki pęd, a nożyśka stężały, jak kłody, a plecy od ciężaru bołą i jeść się chce, siły opadły.

Usiadła na usypanych kamieniach, zsunęła zawiniątko z ramion, nogi wyciągnęła. Opanowała ją rozkosz odpoczynku. Chłonęła ją w siebie wraz z zimnem powietrzem, które ją chłodziło. Z zana drza wyjęła placek owsiany i jadła go z apetytem zdrożonej.

— Niema jak dwie godziny po zachodzie

słońca, za pół godziny będę w mieście i zajdę na czas, sprawię wszystko i zaraz po północy dalej w drogę.

Z początku jadła łakomie i szybko, lecz co chwila wolniała. Plecami oparła się o zawiniątko, oczy zmrużyła, placek wypadł jej z rąk, zasnęła radośnie i twardo. Śniło się jej, że Władek wyciągał do niej ręce: ona go pochwyciła, posadziła na kolanach, a on jej szeptał do ucha, czem będzie, jakim mądrym, gwiazdy zliczy i ogrom mocy Boskiej odnajdzie. Tuliła się do niego, bo ją zimno zbierało.

— Matko! — huknęło jej nad uszami.

Oczy rozwarła, zerwała się na równe nogi.

— Pić na mróz, to przecie strach, życie morna stracić, a bez spowiedzi i duszę zaprzepaścić.

— Panie, nie miałam kieliszka w ustach.

— I z miasta idziecie?...

— Do miasta właśnie.

— Tak późno?

— Kawał drogi, z Poręby.

— Prawda, okrutny kawał.

— Wyleciałam dobrze po południu, a teraz nie wiem, która.

— Szósta musi być.

— A radabym jeszcze dziś kupić chłopcu podszycie.

— Tak późno?!

Magda zawiązała na piersiach końce płachty i nie mogąc się podźwignąć, wyciągnęła rękę.

Chłop w baraniej czapce i długim kozuchu, w setnych butach podał jej swoją i pociągnął.

— Słabiście, kiej takiego tobołka nie możecie udźwignąć.

— Z umęczenia i ze snu, a zimno już zaczęło mnie brać. Tobołek niewielki, ale ciężki.

— Cóż takiego?

— Strawa dla dzieciek.

— W Szczyrzycu? — zawołał chłop.

— Bo co? u księży Cystersów.

— I, mój jest tam w czwartej...

— A mój starszy w trzeciej.

Chłop się zaśmiał wesoło.

— A skądżeście?

— Z Zalasowy, alem dróżnik na gościńcu. — Widzieliście tę chałupinę za figurą i trzema obok wielkimi brzożami?

— Pamiętam.

— To moje siedlisko. Jak się dobrze składa, bo mi pozdrowicie chłopaka, na imię mu Marcin, a na miano Banaś. Gdy będziecie wracać, to do nas na noc. Ciepło, zacisznie i ciepła strawa się znajdzie. No zgoda?

— Dziękuję, pewno wstąpię, przenocuję, będę mieć bliżej do domu.

— Akurat cała miła. Wywiędźcie się, jak się uczy, czy księża go chwala, czy pilny i co mu potrzeba?

— Dowiem się i chłopakiem nacieszę. Znaćcie miasto?

— Jak własną kieszeń. Przecie co tydzień chodzę do raportu.

Radziki byli z siebie. Chłop, że znalazł gotowego posłańca do syna, Magda z opieki krępego chłopca i bywalca w mieścisku.

— Wiecie, może chłopaka mego przywożę na święta do domu, tobym i waszych zabrał.

— Żebyście to zrobili, błogosławiłabym was całe życie. Łatwiejby mi było na te dwie milki posłać po nich furkę.

— Piechtąby przydyrdali.

— Młodszy, nie uradzi, słabusieńki, jakby do książki stworzony.

— Podobny do was, bo i wyście chuderlawi.

— Jak dwie krople wody. Tak ci się we mnie wdał, jak starszy w ojca.

— I na cóż myślicie ich kierować?

— Na co Bóg da, a sami zechcą. Niech tylko umieją, to się i pokierują.

— A moja baba myśli i do Boga się modli, aby ino księdzem został.

— Ja nie — odpowiedziała Magda — co Bóg da i co Bóg chce, nie będę stawać woli Boskiej wpoprzek.

Chłop spojrział na babę; imponowała mu stanowczością i rozumem.

Szli chwilę zamysleni.

— Mościewy — zaczęła Magda — nie przeleciał obok was na gościńcu biały koń, jak śnieg, a na nim jeździec czarny?

— Słyszałem, tentent w izbie i moja powiedziała: „kusy pognął po duszę”.

Chłop się przeżegnał i splunął po za siebie.

— Widziałam go — mówiła wystraszona Magda — koń, widzi mi się, miał skrzydła, z nozdrzy buchała mu para, jak dym gęsta, a „jemu” — bała się nazwać — zamiast ślepi świeciły ogarki.

— I nic wam nie zrobił?

— Ze mną Bóg! — zawołała — idę do dzieck i włos mi z głowy nie spadnie. Tylo mnie, zdzie-
li, żebym go pamiętała, brylka śniegu z pod kopyt.

— Moja, co często po nocach nie sypia, nie może się naopowiadać, co się nieraz dzieje przed pianiem koguta na gościńcu. Jakie wycia, jęki, mo-
lesty, latania, śmiechy, że włosy stają na głowie. Gościńiec sobie ulubili, bo mają gładką drogę do uganiańa. Czasem aż mnie zbudzi. Słyszę i ja co nieco, ale nie chcę, żeby mi głowy nie skrećilo.

— Jeśli z wami Bóg — szepnęła Magda.

— Któż to wie, czy zawdy? Czasem się człek napije, potem zaklnie i bez pacierza usnie.

— Prawda — poświadczyła, dumna, że ona nigdy jeszcze nie zasnęła z pomstą na ustach.

Na rogatce był gwar, wozy, było i ludzic
czekali na jutrzejszy jarmark.

— Nie przeleciało tu? — zapytał dróżnik.

— Coby nie, wleciało jedną rogatką, wyle-
ciało, drugą, ino było zaryczało żałośnie.

— A wy, gdzieście byli wtedy?

— W karczmie.

— Patrzcie!

— I na tem się skończyło. Ludzic nie śmieli mówić głośno o złym, żeby nie wywoływać...

Dróżnik z Magdą poszli razem do apteki i tam za jaja wytargowali mrówczanego spirytusu i kociego sadła dwa pudełeczka. Gotówka, jak sobie umyśliła, została przy niej.

— Przyda się dzieciom — cieszyła się.

Dróżnik pomógł kupić podszycie, a na noc zaprowadził ją do woźnowej „Rady powiatowej“, byle co nieco przecie postawiła za nocleg.

Magda, westchnawszy, dała dziesiątkę, chłop dodał drugą i za dwie wziął wódki.

— Powiedziałbym wam cośik.

— Mówcie.

— A nie scyganicie mnie?

Kobieta spojrzała na niego z godnością.

— No, no, dajcie pokój, tak tylko śpasowa-
łem. Przecie pożartować można.

— No to mówcie — odezwała się udobru-
chana.

— Zebyście też memu Marcinkowi zanieśli papierka i powiedzieli, że to od ojca. Zaniesiecie? — chciał dodać: oddacie?, ale nie śmiał.

— A cóżto, czy to jaki ciężar? — odrzekła zdziwiona. — Zbudziliście mnie może ze śmiertel-
nego snu, pomogliście w aptece, prowadzicie na nocleg i nie zaniósłabym waszemu dziecku! A prze-
cie ja matka i do dzieck idę.

— Prawda — podchwycił dróżnik — papie-
rek nie zacięży, a chłop nieraz jest głupszy od baby.
Zaśmiał się głośno.

Na noclegu u woźnych po wódce poczęstowa-
li ją ziemniakami, a Magda, rada, że idzie jej ja-
koś składnie, zaczęła opowiadać cuda z „Żywota
świętych“, wyczytane w czarnej księdze.

Słuchali ją z jakimś zdziwieniem i rodzają
z niego czią.

— Matko, a zkadze wy to wszystko wiecie,
bójcie się Boga! — spytał dróżnik.

— Z wielkiej jakby jaka święta książki. Księ-
ga ta jest ci od niepamiętnych czasów w naszej ro-
dzinie. Rodzona jestem Smerczyńska, co pierwi
pono przyszli w te strony z tą księgą.

— Któż was czytać, nauczył? — spytała woźnowa, markotna, że jej przecie pani mówią i mieszka w mieście, a czytać się nie nauczyła.

— Kto mnie, czytać nauczył? — odparła Porębska, wzruszając głową. — Nikt, tylo ta czarna księga.

— Jakże to? — pytali ciekawie.

— Za mych młodych lat poniewierał się po chatach stary elementarz. Ciotka moja służywała po dworach, dwa razy pono jeździła do Krakowa i co nieco znała się na książce; ona mnie pierwsza nauczyła liter i powiedziała, jak się składa. Składałam przed nią z jakie pięć razy. Przyszła wiosna, a ja zawsze, wyganiając w pole bydło, brałam ze sobą czarną księgę. Wielkie u nas pastwiska, choć jałowe, strachu o szkodę niema, miałam czas, a ciekawość okrutnie mnie zbierała, co jest takiego w tej czarnej książce. Składam, kalkuluję, jak mogę, męcę się, dręcę... Z początku szło mi ciężko okrutnie, ale powoli, jakoś mi się rozjaśniało, jakem ci dziesięć razy jeden kawałek powtórzyła.

Przyszło lato, dwór zjechał, a po polach zaczął się włóczyć młody nauczyciel paniczów. Nie śmiałam go zaczepiać, alem mu zawsze stawała na oczach z książką. Raz, a serce mi biło, przyszedł do mnie i zapytał o książkę. Pokazałam mu i powiedziałam, że czytam i czytam, ale mi jakoś okrutnie ciężko.

Usiadł przy mnie, rozłożył książkę i kazał czytać. Czytałam, pokazywał, tłumaczył i jakoś mi w głowie odrazu rozjaśnił.

Powiedział, że przyjdzie nazajutrz. Czekalam, przyszedł i znowu pokazywał. Coś przychodził

ze trzy albo cztery razy. Państwo wyjechało do kąpiel, on z nimi i już go moje oczy nie widziały. Resztę sama się wyuczyłam i dziś na byle jakiej książce potrafię.

— A pisać umiecie? — spytał dróżnik.

— Nie było nikogo, coby chciał pokazać i nie było na czem. Widać w młodości mej jeszcze tabliczki z szyferkami do nas nie doszły.

— W ten zapadły ką — dodał dróżnik. — Ale i tak dokazaliście swego.

— Nic, tylo czarna księga dopomogła — rzekła woźnowa.

— To też ją umiem prawie na pamięć.

— A inne świeckie czytujecie?

— Radabym, człek nieraz z ciekawości o mało co się nie zagubi, ale zkąd je wziąć? Później, jak chłopaki podrosną, to mi z Krakowa będą książki przywozić.

— Do Krakowa myślicie chłopców gnać na wielką naukę?... Musicie być wielką panią, zasobną gospodynią?

— Nie wielga, ale ufna w miłosierdzie Boskie. I jakem ślubowała Bogu przed czarną księgą, zapinaną na stalowe klamry, że chcę, aby dzieci moje wyrosły podobne do tych świętych, tak ci spekuluję, uganiam się jak mogę, a idę do swego. No i jakoś dotąd Pan Bóg mi błogosławi. Starszy chłopak zdrów, roztrópnny, uczy się dobrze i pójdzie dalej. Ale młodszy... — urwała.

— Mówcież matko — nalegał rozciekawiony dróżnik.

— Młodszemu cośik patrzy z oczu. Nie wiem co, ale jakaś tęsknota, albo miłosierdzie. I taką

buzinę składną, miluska, a smutny ci czegoś, jakby tęsknił za tamtym światem, a ślepkami to jakby się pytał: a czemużecie duszyczkę moją ściągały z nieba na ten padół?...

— Patrzcie! — szeptała słuchacze.

— Okrutnie się boję, żeby mi go Pan Bóg nie zabrał na Swoją chwałę, bo się okrutnie wлюбиłam w chłopaka. Jak mnie nie uchwyci za szyję, a nie przytuli się, a nie zacznie rozpytywać, to choć przecie jestem i w latach i wiem niemal, co na każdej stronicy w *Żywotach Świętych* stoi, a nieraz głupieję i nie umiem mu odpowiedzieć.

— A uczy się?

— I jak! — dobrze już składał, gdy z domu odchodził — do dziś musi już czytać galanto i pewno litery pisze.

— I tak sama? — zaczęła woźnowa, bo i ona miała dzieci.

— Samiutka, jak ten palec. Chłopa mam do bregó, gospodarzy, zapobiegliwy, nie pijak. Ale, jak każdy góral, radby chłopaków mieć przy sobie do pomocy.

— I nie dziwota — dodał dróżnik.

— A dziwota, że wy swego pchacie na księdza? a nie na dróżnika? To i ja swoich pcham — podchwyciła z mocą i energją nielicującą z jej łagodnym usposobieniem. — Pastuszkami byli a powychodzili na papieży, to jest na namiestników Chrystusowych, bo mieli matki — zawołała. — Matki mieli! Wiecie wy, co to miłość matczyna może, kiej pastuszką sadza na tron tronów całego świata i mówi mu: bądź następcą na ziemi Chry-

stusa, Boga przedwiecznego, karz występki, a czyn miłosierdzie dla maluczkich!...

Zgromadzeni pochylili głowy, na znak nabożeństwa i skruchy. Wymowa matki i jej miłość do dzieci budziła w ich umysłach podziw nad jej rozumem, a część dla jej uczuć. Zrobiła się cisza, nikt nie śmiał głosu zabierać. Zawstydzony dróżnik milczał. Woźnowa zazdrościła wymowy wiejskiej kobiecie, lecz korzyła się przed jej mądrością. Po długiej chwili rzekła Magda do woźnowej:

— Moja kumo, chciałabym zaraz po północy lecieć, na gościńcu usnęłam niewiedzący i może sen ten byłby dla mnie śmiertelny, gdyby kum, zesłany przez Anioła stróża moich chłopców, nie zbudził mnie!

— Prawda — przyświadczył dróżnik.

— Trzeba się wyspać, żeby mnie znowu nie zmógł.

— Oj tak, trzeba się wyspać, nic tak nie krzepi, jak sen. Rozścielę wam starą derkę na stole, dam poduszczynę, okryję kożuchem męża — zaśniecie. I tu, widzicie, nad kominem są patyczki i w garnuszku w popiele mleko dla was. Ciepłego coś wypić na drogę zdrowo!

— Bóg zapłać! — szeptała Magda wzruszona.

— Ja idę na swoje miejsce — powiedział dróżnik — na górę, na siano, koło komina, ciepło i cicho.

Wyjął srebrnego guldena, podał go kobiecie, a gdy wzięła, pocałował ją na znak uszanowania w rękę.

— Pamiętajcie ostatni nocleg u nas!...

Odszedł wierzący w uczciwość kobiety, jak w ewangelję.

Woznowa zgasła gaz, Magda ułożyła się na derce, okryta kożuchem, zasnęła, rada z noclegu i z tego, że się mogła wygadać i świadomością popisać. Świadomość lubiła nadzwyczajnie.

Jutrzenka zastała ją na gościńcu w czystym polu. Skrzepiona snem, szła raźnie. Mijały ósmy słup przydrożny, psy zdaleka szczekały, ciemność rzedła: chociaż słonka, schowanego za chmury, nie było widać, różowa smuga na wschodzie i jasność mówiły, że jest i płynie. Nagnane przez wiatr chmury rosły, skupiały się, idąc powoli na zachód. Już połowę nieba przykryły, na którym gwiazdki bledziuskie jedne po drugich gasły, aż dzionek nastął niewesoły, za to mróz zelżał, poczerniało dookoła, śnieg pod nogami nie skrzypiał, wiatr utonął w czarnych chmurach, ociepliło się, pot kropelkami zrosił czoło Magdy.

— Żeby tylko śnieg, zanim zajdę do dzieciek, nie zaczął padać. Za śniegiem leci zawierucha, wydmy i zasypy, można z oczu gościńiec stracić, przepaść, dzieciiska osierocić i nie doczekać się ich rozumu...

Dreszcze ją przeszły po ciele, spojrzała daleko. Czarny las robił wrażenie, jak gdyby schodził z gór. Chmury coraz więcej otulały ziemię, zrobiło się cicho i parno. Opary wyglądały z ukrytych czeluści, mknąc w górę, jakoby dymy z chat kominów. Zczerniał świat i chmury na nim...

— Zda mi się — szeptała Magda — że sama jedniuszka na tym wielkim świecie, zdana na los. Aleć przecie nie sama! Oj nie sama, nade-

mną, Bóg, On wie, że lecę do dzieciek swoich i nie boję się.

Obejrzała się trwożnie.

— Żeby ino śnieżysko nagle nie przyleciało, nie zastąpiło mi drogi. Boże, Boże, ulituj się nademną!

W tej chwili białe, duże płaty śniegu zakotyły się w powietrzu.

— No i cóż poradzę! — zawołała. — Pan Bóg wie, co robi. Nie mnie jedną ma na głowie. A i tak jak zechce uratuje.

Rozumowanie pokrzepiło ją na duchu. Przysięgała, że będzie walczyć do ostatniego tchu i nie da się łatwo zmódz nieszczęściu — Pociągnęła płachtę i przywiązała ją silnie, chustkę zsunęła na czoło, podwajając kroku.

— Będę biedz, dopóki nie zdybie na drodze karczmy, albo pierwszej chałupy. Wlecę i przeczekam śnieg, a po nim zawieruchę. Kto chce z dzieciek swych zrobić mądrych ludzi, ten dużo musi. Gdyby było łatwo, wszyscy byłiby mądrzy.

Robiło się coraz ciemniej, coraz ciszej i coraz większy śnieg padał. Przeszły ją dreszcze ze strachu, spojrzała przed siebie, lecz wzrok jej tonał w gęstych płatach i w tej szarości pochmurnego dnia bez słońca.

— I gdzież się podzieję, kiej nie ujrzę nawet karczmy przed sobą, a o chałupie to i wspominku niema. I cóż zrobię z sobą. Muszę iść aż do utraty sił, abo zmiłowania Bożego!

Opanowała ją rezygnacja — siła w przeciwnieństwach ludu naszego. Zaciekawiona, co dalej będzie, szła, przymrużając oczy. Wielkie płaty

śniegu oslepiały ją. Weszła w milczący las, mgła stawała słupem, parno było, pot spływał jej kroplami z pod chustki.

— Niechże teraz wilk wystąpi i stanie mi na drodze, abo ryś z drzewa skoczy na kark?... Ja chcę zejść do dzieciek, ale ty Boże może chcesz inaczej, i choć mi okrutnie ich żal, niech się dzieje wola Twoja. — Westchnęła, lecz jakoś nie wierzyła ani w wilka, ani w rysia. Żeby Bóg sprowadzał na nią dzikie bestje, za to, że ona chce dziecko w rozumie krzepić na Jego chwałę, to przecie nie może być? Rozśmiała się smutno, siadła na kamieniach i kupioną na drodze kukiełkę gryzła, a że ją pragnienie męczyło, robiła gałki ze śniegu i kładła do ust.

— Droga ociążała, robi się kopno, a mnie daleko jeszcze do połowy, samiuśka na tych wielkich obszarach, jak marny robaczek. Ale i nad robaczkiem, jako i bogaczem zarówno jedna jest opieka. Nie zgine i ja.

Ścisnęła końce płachty, związała na węzeł, poszła. Nogi jej lgnęły do śniegu, nie mogła pośpieszyć. Co uszła paręset kroków, stanęła, odpoczywała. Nadstawiała uszy... nikogo, przeraźliwa pustka i przeraźliwa cisza. Śnieg padał i kładł się do snu cichutko, że aż strach brał.

Szła wciąż, ale jej jakoś w oczach ciemniało, głowa się zawracała, a ciężko było łapać w płuca powietrze.

— Bójcie się Boga, czy to już ostatnia godzina na mnie przychodzi i dzieciek nie zobaczę?

Padła gwałtownie na kolana, ręce wyciągnęła.

— Ratuj! — wołała — Wielki i Mocny ratuj,

nie rób sierotami chłopaków. Ratuj, kiej Imię Twoje świat cały miłosierdziem ogarnia!

Wstała i wolno szła dalej.

— A jak nie zechce, a jak nie może, a jak inne jest przeznaczenie — rozumowała i ciarki ją ze strachu i niemocy przejmowały. Co uszła paręset kroków, odpoczywała na kamieniach, a oczy wytrzeszczała, aby sen nie przyszedł, bo sen na mrozie przy zmęczeniu — śmierć.

— Nogi mocne, pójda same, byle ślepie nie zachodziły ciemnościami, a łeb się nie zawracał. Nogi pójda same — pocieszała się — znam ja je, byle tylko widziały, gdzie.

— Matko!...

Drgnęła na całym ciele.

— A ustąpże się, bo cię koń dyszłem zdzieli.

Magda odskoczyła.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki. Gdzie Pan Bóg prowadzi w taki czas?

— Do szczyrzyckiego klasztoru, do chłopców z wiktem.

— I takiście czas wybrali?

— Wczoraj była przecie pogoda.

Chłop w butach, setnym kozuchu i baranicy na głowie, zatrzymał czarnego jak smoła, konika. Saneczki były małe, lecz mogła się w nich Magda pomieścić. Patrzała na nie miłosiernie i łakomie.

— A wy, gospodarzu, dokąd? — spytała.

— Także do klasztoru.

— Jedna droga — zawołała.

— Tak, tak, jedna i ta sama, tylo długa.

— Skróci się we dwoje — rzekła. — A wielebyście chcieli za wzięcie mnie na saneczki?

— Papierka!...

— Boga nie macie w sercu — papierka? Cóż to, jedziecie umyślnie?

— Kto trzyma chłopaków w klasztorze, ten i płacić może.

— Ale nie wiecie, jakimi ochfiarami ich tam trzymam — od gęby sobe odejmuję, aby ino dla nich.

— Bez próżność! — zawołał. — Znam ja was, baby, żeby mieć synów panami, duszę oddałybyście djabłu. Ho, ho, próżność najwięcej baby bodzie...

— Co wy nie wygadujecie — mówiła wylekcionia — kocham swoje dzieci.

— A siebie najwięcej.

— Nie — zawołała — bobym życie za nie oddała!...

— Żeby ino sobie dogodzić.

Magda była oburzona. Chłop rzucił jej pod czaszkę wątpliwości, z którymi nie wiedziała, co zrobić.

— Chcecie szóstkę do pierwszej karczmy? — Tam se odpocznę, skrzepnę i sama pójdę dalej. Choćbym szła i trzy dni, wolę, jak pieniądze la dziecek marnować.

— Do pierwszej karczmy siadajcie.

Odsunął się, siedzenie poprawił; Magda złożyła zawiniątko w nogach, usiadła, odetchnęła, zrobiło się jej rozkosznie, miło. Nogi drżały wypoczynkiem, uśmiechała się.

— Słodko? — spytał chłop.

— Oj słodko, słodko — powtórzyła — nóg nie czuję, drżą z radości.

— Znam ja to — mówił. — Sługiwałem w wojsku, byłem trzy razy w Hameryce, kopałem węgiel, to wiem, co trud, a juści wiem i co odpoczynek.

Świsnął batem; czarny konik, parszając wesole, poszedł żwawego klusa, tem więcej, że droga staczała się powoli na dół.

Zamilkli oboje. Chłop myślał o swoich sprawach, Magda zagłębiała się, badając własne sumienie, o ile próżność pchała ją do posyłania dzieci na naukę.

— Nie, nie próżność — odpowiedziała sobie — bo jabym im krwie utoczyła z serca. Nie próżność, bo sił i życia swego nie żałuję... Nie próżność? A jednak chciałaś, żeby byli panami, żeby nie chodzili w krepciach, żeby mieli szacunek ludzki i uważanie? Nieraz se pomyślałaś, że miłoby ci było, gdyby na twoje dzieci pokazywali ludzie palcami i mówili: patrzcie, Porębszczaki idą, synowie Magdy, ona ich tak wy kierowała, ona jedna dziecięcioma palcami! Może i to próżność, ale chyba taką Pan Bóg przebaczy.

— Czy śpicie, matko, że tak macie zasznurowaną gębę?...

— Gdzie tam, macałam sumienie i pytałam się go, co mnie pcha, żeby z dzieci ludzi zrobić.

— Panów — poprawił chłop.

— A choćby — odparła Magda.

— No i cóż powiedziało?

— Że próżność matczyna i miłość matczyna — jedność.

— No, no, ale tam w głębokościach próżność, choć teraz śpi, wylezie i powie: Zdawało ci się, głupia, że miłość, a ja czekała, aż urosną. Oni urosli i ja urosła i śmieje ci się w nos.

— Niech tylko dzieci wyjdą na ludzi, może się śmiać.

— Na panów, powtarzam wam kumo, na panów ich chowacie, bo przecie można być uczciwym człowiekiem przy pługu i z kosą w ręku.

Magda nigdy nie słyszała takiej mowy z ust chłopca. Spojrzała na niego. Był blady, a ślepią miał czarne, jak węgle.

— Może to złe, żeby mnie kusić?... — zadygotała.

— Czyście czasem wczoraj nie przelecieli na białym koniu do Limanowy?...

— A może i przeleciałem — odpowiedział wesoło.

— No to stanijcie, zlezę i pójde sama.

— Dlaczegoż to tak?

— Boję się was.

— Macie mnie za djabła... co?...

— Nie przywitajcie mnie Chrystusem.

— Bo i wy mnie nie.

— Kusicie mnie pychą, jak djabeł Pana Boga.

— Ale djabeł się nie zęgnął... patrzcie! — Chłop zdjął czapkę: — „W imię Ojca i Syna i Ducha świętego amen. Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się Imię Twoje“.

— No, to dziękuję wam — przerwała uspokojona. — Musicie być „światowiec“ i la tego mowa wasza inaksza.

— Światami gonilem bez całą młodość.

— I w książkach musicie być mocni.

— Co nieco, jak się trafi.

— Po co se próżno głowę nabijać, czy z wielkiego kochania do dzieci, czy ino z próżności matczynej, a robić swoje i iść do końca, kiej się zaczęło... i basta. Raz będzie próżność pomagać to znowu miłość matczyzna... byle iść i swoje robić.

— To i wam, kumo, widzę, książka nie dziwota.

— Ino na jednej całej mój głupi rozum.

— Na jednej? a na którejże?...

— Na „Żywotach Świętych“, spisał je ksiądz Piotr Skarga.

— Słyszałem, ale nie znam.

— Stamtąd brałam głupią mądrość moją i postanowienie wysłania chłopców do klasztoru. Innej nie znam, ale rozumniejszej niema.

Chłop nie śmiał zaprzeczać, aby mu ze sanek uciekła. Lubił pogwarę i jakoś łaskliwie na babę spoglądał. Szło mu również o poczęstunek.

— Macie rację — powiedział. — Nie nam roztrząsać, lepiej swoje robić.

— Lepiej — zawołała Magda — tysiąc razy lepiej...

Porozumieli się nareszcie.

— Po cóż to, jeśli wolno wiedzieć, wy jedziecie do klasztoru?

— Drzewa w lesie od księży kupić.

— Na ciosiolkę?

— Na co się da. Uciulało się parę grajcarów, po co mają po próżnicy leżeć.

Magda westchnęła.

— Gdybym ja je tak miała, wiedziałabym, co by z niemi zrobić.

— Wpakowalibyście w dziecka, aby się was potem, gdy dorosną, wstydziły. Taka tu nagroda.

— Nie moje, nie moje! — zawołała. — Moje inakwsze, moje wdzięczne, moje przychlebne.

— A ja mojemu, jak skończy sześć klas wydziałowych w Tarnowie, dam grube buty, kozuch i topór do garści. Niech pracuje, jak ojciec, to będzie szanował i pracę ojcowską i ojca i przez niego zarobiony grosz.

— Wy co innego, was stać na to, wyście pewno bogacz; kupujecie drzewo, rzemiosło macie w rękę, a tu ja biedna i mój biedny i dzieciśka biedne, o własnych siłach muszą iść!... I pójdą, byleby przepchać pierwsze lata, byleby się tyle nauczyły, żeby drugich mogły uczyć. Ja to rozumiem, bo i ja, żebym ino miała tyle, nie puściłabym ich na wieczność do miasta. Niech się uczą, co się da, co tylko można, i wracają do swego. Ale kiej swoje małe, odrobina, chude i zimne...

— W górach niema co się oglądać na grunt, tylko z lasu żyć i spekulować.

— Prawda, ale na spekulację potrzeba grosza, dużo grosza. A kiej go nie ma, muszą głodem mrzeć i dobijać się piórkiem w mieście kawałka chleba.

Westchnęła.

— Niechaj jadą po grosze do Hameryki, jak ja! Trzy lata pod ziemią węgiel kułem, uciulałem i wróciłem.

— I na Hamerykę trzeba mieć — odparła Magda — a do tego i zdrowie i siły. Chłopaki przy

książce, ze skąpem jadłem, nie nabędą tej mocy, co potrzeba do ciężkiej pracy.

— I trzeba całe życie piórkiem po papierze smarować — dokończył chłop.

Magda westchnęła po raz drugi, dodając w duchu: żeby ino mądrzy i bogobojni byli jak ci, co opisani w księdze, zapinanej na żelazne klamry.

Milczeli oboje, konik leciał rażno, a że się miało na odwilż, para z niego buchała, mgła wydymała się z lasu i wyglądała na gościniec ciekawa, głęboko ukryte wrony krakały radośnie. Drzewa zbielełe śniegiem ugięły konary, jakby się chyliły na powitanie. Ciepło się zrobiło, a zarazem jakoś wesoło. Natura drżała w swym śnie nadziejami przebudzenia, śnieg przestał padać, a wznoszące się w górę opary spadały kroplami deszczu na ziemię.

— Ciepło — rzekł chłop.

— Jakież wasze imię? — spytała kobieta.

— Paweł — odparł. — Wiecie matko co — mówił dalej — weźcie lejce i bat, ja się co nieco zdrzemnę. Wyjechałem przed północą, rozbiera mnie, ślepią same się zamykają.

Magda wzięła lejce i bat. Paweł zwinął się w kłębek, oparł głowę o siedzenie i w tej chwili zasnął.

— Teraz jestem pewna, że mnie Bóg prowadzi, bo mi zesłał sanki na drogę, konika i chłopca dobrego. Zawiozą mnie do samego klasztoru i dziś jeszcze moje dzieciśka ujrzę. — Serce jej zadygotało radośnie. — A było ci krucho ze mną, nogi się plątały, a głowa zawracała. Do tej pory leżałabym na śniegu. Strach pomyśleć. A teraz se jadę jak pa-

ni, konik leci przedemną, a saneczki za nim, ja na nich!... Czy też dziecka odgadują, że matka tak blisko? Będzie uciecha! a największa w matczynem sercu.

Śmignęła batem, konik parsknął i ruszył kłusem. Drzewa rzedły, gościniec się rozszerzał, coraz więcej zamglonego nieba było widać i jaśniej się zrobiło. Chłop spał, radość matki rosła, konik parsknął, a zdala wrony krakały.

Z poza drzew i mgły raptownie, jak gdyby z pod ziemi, wyskoczyła i stanęła przed nimi karczma, konik się obejrzał i zatrzymał, Magda nie śmiała Pawła budzić, konik sam wolno skręcił do czarnego otworu zajazdu, wjechał. Magda zeszła z sanek, odprężyła konika, uwiązała go u żłobu, zarzuciła za drabinę siana, wyskubnego z siedziska sanek, nakryła chłopca derką i weszła do izby. Żyd się modlił, żydówka drzemała za szynkwasem.

— Niech będzie... — rzekła i zatrzymała się w porę.

— No, no, niech będzie — odpowiedziała żydówka — co powiecie?...

— Daleko do klasztoru?

— Trzy mile tęgie chłopskie, a pańskie cztery.

— Cztery tylko milki dzielą mnie od dziecek — pomyślała.

— Moja gospośiu, nie moglibyście mi uwarzyć mleka kwartę, macie chleb? a nie, to kukielkę?

— Wszystko będzie, ale naprzód napijcie się wódki.

— Wódkę będzie pił gospodarz, przyjdzie zaraz.

Żydówka podeszła do komina, Magda złożyła zawiniątko na ławie, oparła je o ściane i chodziła po izbie, aby nogi wyprostować i rozruszać się. Co chwila zaglądała do stajni zobaczyć, co się dzieje z Pawłem i koniem.

Wrzące mleko parowało z miski, obok leżała ćwiartka bochenka chleba, ślina szła do ust. Kobieta skoczyła do sanek.

— Gospodarzu, możecie się już wypali, konik zjadł siano i obciera się za owsem, w izbie czeka mleko gorące.

Paweł przetarł oczy i zerwał się.

— Dziękuję wam, żeście mi się dali przedrzeć i sami zarządzili. Dzielna z was baba.

Wyjął z dna siedziska worek z przygotowanym obrokiem i wysypał go do żłobu.

W karczmie napili się wódki i zasiedli do śniadania. Świątowiec się śmiał, opowiadał historie, z żydówką żartował, z żydem rozprawiał o polityce. Wesół był i jakoś rażny i ochoczy.

— Wiecie matko, co wam powiem — zwrócił się do Magdy — prześpijcie się i wy, sen okrutnie krzepi, bo gdy się zobaczycie z dzieckami, to nie będzie końca gadaniu.

— A nie odjedziecie mnie? — spytała trwożnie.

— Bez co? Zafundowaliście śniadanie, a przecie w drodze weselej we dwoje. Ciężaru wielkiego nie przysporzycie.

— Śpijcie matko, ja was zbudzę, jakby ino gospodarz chciał uciekać — rzekła żydówka wesoło.

— Śpijcie, śpijcie, bo my tymczasem uściskamy się z szynkarką.

— Zaraz, akurat — odparła, wzruszając ramionami. — Mąż niedaleko, bo w drugiej izbie.

Zaśmiali się. Magda położyła się na ławie, oparła głowę o zawiniątko i zasnęła. Śniły jej się dzieci, Władek wyciągał do niej rękę i mówił: „Matulu, ja ciebie nie będę się wstydził, jak urosnę i mądrym zostanę“.

Wyjechali w południe, konik najedzony leciał rażno i wesoło parskał. Na saneczkach otulona siedziała Magda, obok niej światowiec, pełen animuszu i życiowej energii.

— Opowiadajcie dziwa z tej waszej księgi Żywotów świętych, to się zaraz droga skróci i człek czegoś się dowie i nauczy.

Magda lubiła opowiadać, a wielką księgę, zapinaną na klamry, umiała prawie na pamięć.

Mówiła o wielkiej sile woli, o straszliwych pokusach, zwycięstwie nad złem i wielkim miłosierdziu historje ciekawe i długie, a konik leciał kłusem, góry się rozstępowały, lasy zostały na górach i mgły poszły za nimi. Wyłaniały się nowe horyzonty, szerokie, spadziste pola, okryte śniegiem, a środkiem nich biegł gościniec szeroki, ginący w pomroce. Tylko ich dwoje na tej wielkiej przestrzeni, z nimi szły dziwne, cudowne historje energii ludzkiej, płynące z gorącej wiary.

Raptem chłop wyteżył wzrok, przykładając dłoń do czoła.

— Wieże! — zawołał.

Magda drgnęła radośnie, coś ją chwyciło za gardło.

— Klasztorne?

— Patrzcie przecie, dwie jedna przy drugiej. Słonko błysnęło na zachodzie z za chmur czerwienią, wieże wyskoczyły. Słonko zniknęło, wieże utonęły w niebieskawej mgłę, smutno się bez nich w sercu dwojga ludzi zrobiło. Niebo ciemniało, od wschodu leciał mrok, wiatr w górze rozpełdzał chmury, gnając je na góry i lasy. Szare płachty zleciały z nieba, odkrywając granatowy ciemny płaszcz, zasiany gwiazdami. Śnieg zaczął skrzypieć pod kopytami konia, mróz szedł cicho, biorąc świat w swe posiadanie.

— Wieże znikły — rzekła Magda.

— Ale za to są bliżej. Drzy wam serce, co?

— Matczyne — odpowiedziała.

Skręcił konia w lewo, przelecieli wąwóz, a na wzgórzu zajaśniała blada łuna wioski i zabudowań klasztornych.

— Cóż, daleko? I nie dziękujecie Bogu, żeście mnie w drodze zdybali?

— Mnie się zdaje, że Pan Bóg wyprawił was z domu, żebyście mnie zaratowali.

— Matko, czy nie za wiele od Boga chcecie?

— Nie! — zawołała, jak gdyby się bała, aby w niej nie zniszczono ukochanej wiary — nie! — powtórzyła — bo wielkie jest miłosierdzie Jego.

Chłop zamilkł, konik się puścił z góry kłusa, śnieg skrzypiał, wyiskrzzone gwiazdy mrugały, a z za doliny wychylały się czerwone ogniki chat i zabudowań klasztornych.

Zrobiło się wesoło w sercach jadących, milej patrzyli na świat, radość ich grzała, niecierpliwość leciała naprzód.

Paweł zatrzymał konia przed bramą klasztornego dziedzińca.

— No, bądźcie zdrowi, może się jeszcze kiedyś w życiu zdybiemy. Jutro świtaniem wracam.

— Dziękuję, Bóg wam odpłaci. — A jeśli kiedy przyjdzie wam przez Porębę jechać, wstąpcie do Porębskich.

— Dlaczego nie? Wstąpię i odpocznę.

— Bóg z wami.

Zabrała zawiniątko, poszła w wieś.

— A jakże się w nocy dopytam do chaty, gdzie mieszkają moje chłopcy? No, no, dam se przecie radę.

Drogą biegł dwunastoletni wyrostek; zatrzymała go.

— Dziecko, a powiedzże mi, w której chałupie mieszkają bracia Porębscy, co się uczą w szkole.

— Znam ich, my się tu wszyscy znamy. Wiedzicie tę trzecią chałupę od siebie, tam wleźcie.

— Dziękuję ci.

Chłopak popędził. Magda przyspieszyła kroku, wpatrując się w chatę, jak w zjawisko.

— Tam moje robaki siedzą, uczą się i nie wiedzą, że matka tuż, tuż, że jej serce bije, a radość rozsadza głupie serce.

Weszła do sionki, cicho otworzyła drzwi. Przy zapalanej lampce siedział nad książką starszy. Władek obok niego leżał na ławce i spał.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekła rzewnie, hamując łzy.

— Mama! — zawołał Antoś i zerwał się. — Matula nasza! — rzucił się ku niej.

Magda siadła na ławce, oparła zawiniątko o stół i szepcąc:

— Zaraz, zaraz, moje robaki — odwiązywała gorączkowo płachtę.

— A teraz mnie macie! — rozwarła ramiona.

Wpadł w nie naprzód Antoś, a potem do matki przyprowadził płaczącego Władka.

— Matka przyszła, a ty dziecko płaczesz?...

— Tak, ino z radości — szepnął cicho Władek, zbliżył się, wgramolił na kolana, objął ją za szyję i tulił się do niej.

— Moja matusiu, moja matusiu, jakże cnełem za wami. Zawdy mi się śniłaś, stałaś przy mnie, a co ślepią otworzę, nikogo!...

I Magda dłużej nie mogła wytrzymać, objęła chłopca, tuliła się do niego i płakała.

— Jakże wam tu? mówcież przecie—prosiła.

— Dobrze — odparł Antoś. — Księża do brzy i nauczyciel dobry, kontenci z nas. Gospodyni nie powie nam marnego słowa. Wieczorami sami prawie w chacie jesteśmy. To ino było nieszczęście, że Władek butów nie ma do szkoły, pożyczą mu swoich gospodyni. Wielkie są i chłopaki z niego się śmieją.

— Przyniosłam ci nowe, na twoją nogę jak ułał...

— Nowe! — zawołał Władek i rzucił się do zawiniątka. Wydobył, wdział je zaraz, a matka dała im po kawku lodowatego cukru. Chodził po izbie, przytupywał, cukier ssał i śmiał się wesoło, rad z matki, butów i całego świata. A gdy matka rozmawiała z Antosiem, wyleciał z izby na gości-niec, żeby się przekonać, jak mu śpiluje w butach

na dworze. Wrócił zmarznięty i rzucił się do matki, siadł jej na kolanach, gładził ją ręką po twarzy i opowiadał, jak już umie czytać, a tabliczkę na obie strony z dziesięć razy zapisał i teraz radby na papierze próbować, tylko że niema zeszytu, obsadki, stalówki i atramentu, bo on siedzi w innej klasie, a Antoś w innej. On w pierwszej, Antoś w trzeciej. I żeby matusia była przy nim, toby mu się nie cnęło za Porębą, bo nauka idzie mu łatwo i dobrze.

Weszła gospodyni, cicha i łagodna kobieta, pełna jakiegoś smutku i dziwnej dobroci. Dzieci swoje straciła, po nich poszedł mąż, została sama i nie dziw, że garnęła się do cudzych. Przywitały się, odebrała od Magdy wiktuały i cicho dodała:

— Chcęby jeszcze trochę gotówki, po drzewo pojechać do lasu, podatek zapłacić, soli kupić. Chłopczyska się uczą, to i jeść muszą.

— Znajdzie się i grosik — rzekła Magda, całując wdowę za jej dobroć dla dzieci i pamiętanie o nich.

— To dziecko — mówiła wdowa, pokazując oczami na Władka — ale Antoś walny chłopak. Pilny, spokojny, uczy się dobrze, porządny, będziecie z niego mieli pociechę, byle było za co utrzymać go do końca.

— Ja ich obu utrzymam! — zawołała Magda z jakąś mocą, płynącą z głębin serca. — Władek, coś we mnie mówi, będzie wielką radością nie tylko dla mnie, ale na całą okoliczność, na wszystkie pola i lasy, a jak w „Żywotach Świętych” mówią, na całą Rzeczpospolitą. Władka trzymać w szkole przy nauce rękami i nogami!...

— Tutaj fracha — rzekła wdowa — nie będę

was zdierać, swoich nie mam, tom się do waszych przywiązała, ale tam, w Krakowie, drogo okrutnie i innego obleczenia dla chłopców potrzeba.

Magda przysunęła się do wdowy.

— Antoś w Krakowie sam sobie da radę, a może Bóg pozwoli, że Władka jakoś własną głową utrzymam. Zresztą, co mamy się kłopotić i jutro, kiedy i dzisiaj ciężko sobie radzić.

I znowu się pocałowały. Władek pokazał wdowie buty nowe, galante, z obcasami.

— I nie będę już rysikiem na tabliczce pisał, mama mi jutro sprawi zeszyt i żelazne pióro i rączkę czerwoną. Antoś mnie nauczy i napiszę do matuli list. Ho, ho, jaki ja list napiszę, w głowie mi się roi od tumultu myśli. Bylebym się prędko pisać nauczył.

Magda spojrzała znacząco na wdowę, porozumiały się wzrokiem. Wiara w sławę chłopca na całą okoliczność, a jak mówiła na całą Rzeczpospolitą rosła, serce matczyne drżało rozkoszą.

— Te myśli ze mnie ma, wyssał je z piersi mojej. Tyło, że ja jestem głupia, a on będzie mądry i potrafi je układać, że aż się ludzie będą dziwować.

Pochwyciła chłopca na rękę, postawiła na stole.

— Jakież to te listy będą, co do mnie będziesz słał, jak się pisać nauczysz? Co to w nich będzie?...

— Różności rozmaite! — zawołał chłopak. — Matusia się zdziwi i oczy będą wytrzeszczać. Sam się dziwuję, jakie mi nieraz myśli do głowy płyną. Stoje i słucham, a one idą, pytam się skąd.

— A cóż one ci odpowiadają?

— Gdzieby mi tam odpowiadały, jak przysły, tak odchodzą i cicho.

— A to je łap i zatrzymaj na papierze.

— To też chcę się chyżno nauczyć pisać!

Matka pochwyciła go w objęcia i całowała.

— Skonam — pomyślała — a nie oderwę go od nauki!

Wdowa roznieciła ogień, uwarzyła wody w garnku i zasypała ją kaszą, przyniesioną przez Magdę, omaściła słoniną, podarunkiem Rakoczowej.

Antoś opowiadał matce o szkole, o książkach, nauczycielu, chłopcach, co się z nim razem uczą, jacy są zbereżnicy i jakie wyprawiają dziwy.

Władek opowiadał o swoich zabawach, o tęsknocie za matką i utrapieniach, kiej butów nie miał, a tu taki wielki śnieg, bućiska gospodyni wielkie, że się w nich przewracał.

Matka słuchała z całą uwagą i zajęciem; i ona z miłości do dzieci stawiała się dzieckiem, cierpiąc ich troskami, ciesząc się ich wesołością.

— A teraz spać — zawołała gospodyni. — Koguty dawno przepiały, musi już być po północy. Matusię zapraszam do swego łóżka pod pieczone, wygrzeje się i wyśpi.

Władek z wielkiej uciechy chciał spać w buchtach i nie zasnął, dopóki mu ich nie postawili tuż obok na skrzynce.

— Bóg jeden wie, co zgotowane moim dzieciom — szeptała do ucha gospodyni Magda, gdy przytulone do siebie, grzały się pod pierzyną.

Nazajutrz Magda odprowadziła dzieci do

szkoły, pokłoniła się księżom i nauczycielowi, poszła do przeora, o nic go nie prosiła, tylko dziękowała za wszystko dobre, jakie na jej dzieci spływało.

— Starszy dobrze się uczy — rzekł przeor — jeśli będzie pierwszy, klasztor weźmie go na swój wikt i da stancję w klasztorze.

— Dwóch mam — odpowiedziała Magda — a że się dzieciska kochają, nie chciałabym ich rozrywać. Młodszy urwałby się bez starszego.

— No, no, zobaczymy — rzekł przeor — rok ten będzie próba. Dzieci: macie dobre, to i wy musicie być dobrą kobietą.

Pokłoniła się przeorowi, pocałowała go w rękę, otucha wstąpiła w jej serce.

— Rok ten muszę przebiedować i przebieduję, lecz Bóg mi świadkiem, żem uboga, a chłopców trzymam w szkole własną kalkulacją i tem, czem sobie od ust odejmę. I wytrwam — dodała. — Skonam a wytrwam! — powtórzyła z mocą i energją w głosie, że przeor zatrzymał wzrok na niej.

— Skądże jesteście?

— Z Poręby — odpowiedziała — rodzona Smerczyńska, Porębska z chłopca. Mamy kawałek gruntu i polanę w lesie, lecz pożar nas zniszczył, trza było wziąć z kasy i gnębi nas teraz.

Przeor myślał chwilę.

— Siądźcie — rzekł raptownie i wyszedł.

Magda się wsparła o ławkę przy drzwiach, a dobre myśli wciskały się w jej serce.

— No — odezwał się wesoło przeor wracając — macie miejsce dla chłopców i wikt klasztorny. Na głód nie będą narzekać. — Rozśmiał się

szeroko. — Zostaną pod opieką księdza Onufrego, a braciшек Bonifacy będzie ich miał na oku w stacji. Celka mała, ale schludna, czysta, ciepła. Weźmiecie chłopców na święta?

— Radabym — szepnęła; radość tamowała jej mowę.

— No, po świętach niech zajeżdżają wprost do klasztoru i meldują się do braciška Bonifacego. A nie pojedają, to już na święta mogą się sprowadzić. Dobrze wam z oczu patrzy, moja Porębska, strasznie musicie kochać dzieci, miłość rozbraja.

Porębska się rozplakała.

— Cóż znowu, zamiast się kontentować, płaczecie? Ale i ja rozumiem łzy radości, także jestem z wiejskiego stanu, i gdym przyjeżdżał na wakacje do domu, zawsześmy się z matką spłakali. A teraz bądźcie zdrowi, nie dziękujcie, bo mi Bóg zapłaci; roboty huk, gospodarstwo, gorzelnia, lasy, a i w kościele praca.

Porębska wyszła pijana wzruszeniem. Odrazu dzieciška jej dostaną ciepły kąk, dobrą strawę, naukę i opiekę, odrazu bez kłopotu, bez udręczeń, bez próśb, bez strachów. Będą mieć dzień wesóły i noc spokojną.

— Skąd tyle łask na mnie spada niespodzianie? Wczoraj, jak temu wróblowi okruszynę, co z głodu zdycha, zesłał mi Pan Bóg saneczki, karego konika i chłopca dobrego... A dziś?!... Boże, dzieciška moje skończą całą szkołę w klasztorze, a przez te lata będę mogła im uciulać coś do Krakowa. Muszę ciulać, skąpić, łątać, kalkulować. Starszy dwa, a Władek jeszcze całe trzy lata. Przez trzy lata to może się i kasę zapłaci. Przez trzy lata to się mo-

że wypaść ze sześć wołów i choć ze dwie stówki zarobić na nich. Przez trzy lata?...

Nie mogła myśleć. Myśli jej szarpała w strzępy radość, nie miała sił ich gromadzić.

Wybiegła z klasztoru, chciała wpaść do szkoły, lecz w szkole nauka, profesor jej nie puści. Chciała polecieć do wdowy, lecz jakże jakże ją zasnucać, kiej się wлюбиła w chłopaków?!

— Co za szkoda, że niema tutaj Maryny i mego, dopiero to cieszyliby się ze mną.

Wywołała syna dróżnikowego, dała mu srebrnego guldena, pozdrowiła go od ojca, pogłaskała i zobaczywszy kościół otwarty, wbiegła do niego topić swą radość w modlitwie. Zastała wdowę, wyszły razem kupić w sklepiku zeszytów do pisania, atramentu, obsadkę czerwoną i pióro żelazne.

— A dla was dwa papierki — rzekła Magda, kładąc na stole w izbie pieniądze. — Bóg mi świadkiem, nie mam wężej. Dla siebie na całą drogę zatrzymałam dwie szóstki. Mleka kupić i zagrzać się, żeby mieć siłę wrócić do zagrody.

Wdowa schowała pieniądze.

— Ha, kiej nie macie, to przecie dzieciek nie wygnam na mróz. Może na święta dodacie, bo i mnie samej ciężko i jak se pomyśle, drzę, jak listek ze strachu, abym nie poszła pod kościół wyciągać ręki.

Uściskały się. Magda przyrzekła zasiłek, pewna, że jej łatwiej teraz przyjdzie, a wdowa znajduje sobie bogatszych stołowników.

Do izby wpadli Władek w nowych butach i Antoś z książkami. Opowiadali matce, o co ich nauczyciel dziś pytał, jak Władek przed nim z ele-

mentarza czytał, jak nauczyciel powiedział: „dobrze, dosyć”, a ksiądz go słuchał z katechizmu. Umiał dobrze i za to go po głowie pogłaskał.

Rzucił się matce na szyję i całował ją gorąco, z dziecinną przychlebnością. Cieszył się zeszytami, próbował piór, Antos go uczył, jak pióro trzymać, jak prowadzić po papierze i gdzie przyciskać. Matka z nimi razem się cieszyła, jednako bawiła, odczuwając ich radości.

Po południu trza było się zbierać w drogę; okrutnie jej się jeść chciało, lecz nie mogła dzieciek odjadać, niewiele przyniosła...

— Zostańcie — prosiła wdowa — wystarczy, a jeśli nie pójda do klasztoru, dadzą.

Władek uczeplił się matczynej spódnicy, Antos miał smutną minę.

Została, przysięgając sobie, że zaraz po północy wyleci.

Dobrze jej było z dzieckami, jakoś cicho i serdecznie. Władek pisał zawzięcie na kupionym zeszytce, Antos czytał matce głośno ciekawe historie z książki, której mu pożyczył nauczyciel. — Kobieta zasłuchana marzyła o wielkości synów. I oni może będą zwiedzać cudze kraje i zobaczą ten wielki, piękny świat. Porywała ją książka. Nie była tak mądra jak „Żywoty Świętych”, lecz za to ciągnęła ku sobie, bawiła, że czytając ją, na sercu cieplej się robiło.

— Antos, a możebyś mi ją pożyczył? — zapytała. — Wieczory długie, tamta, wiesz, zapina na klamry, umiem ma pamięć, odwiózłbyś po świętach.

— Niech matusia biorą. Nauczyciel tak, jak gdyby mi ją dał.

Chłopcy ułożyli się do snu, Magda nie chciała wchodzić pod pierzynę z obawy, aby nie zaspac i umieściła się na ławie.

Zerwała się na pianie kogutów, płachtę przewiązała przez plecy, książkę wsadziła za pazuchę, nad dziećmi zrobiła znak krzyża świętego, obuła się, raz jeszcze spojrzała na synów i wyszła po cichu.

Świeże powietrze orzeźwiło ją, mroźnik zakrzypiał pod butami; otulona płachtą, wypoczęta, bez ciężaru, szła śmiało, ufna w miłosierdzie Boskie.

Ponad wzgórzami świecił jasny, srebrny sierp księżycy i połyskiwał na śniegu blademi tęczkami. Z granatowego nieba patrzyły na ziemię zasłuchane w wieczność gwiazdy. Natura ciszą modliła się do Boga. Skrzyp butów kobiety straszyl ją — i ona tonęła w tej wielkiej ciszy w przeczuciu nieskończoności.

Weszła w las, stał przerażony i zaklęty, ponurość jego łagodziły srebrne promienie księżycy. Droga ciągnęła się prosto, niedościgniona wzrokiem. Kobięcie się zdawało, że cały świat zmartwiał, zatrzymał się, lub zapatrzył w Boga. — Skrzyp śniegu pod jej nogami przerażał ją i straszyl...

— Jeżeli taka jest wieczność — myślała — to okrutnie smutna, ale i okrutnie miła.

Ciemność ją obejmowała, wielkie czarne niebo przez milczące gwiazdy wpatrywało się w nią, wielkie przestrzenie ciążyły na sercu.

— Boże mój! — szeptała — zdaje mi się,

zem sama jedna na świecie, a tu tyle ludzi, że trudno zliczyć. Musi ten świat być wielki, kiej nie wiadać ani jednego.

— Ja i jeden Bóg i taka cisza, że może czytać myśli mojej!... Nie boję się: niech czyta; chłopcy, Maryna, mój i miłosierdzie Boskie, to wszystko, co jest we mnie. A jeśli jest spekulacja i chytrość jaka, to dla dzieci. On wie i niech mnie z tego sądzi!

Serce jej rozsadzała radość, dzieci jej, Władek i Antek — nic już ich nie oderwie, bo chociażby ona oczy zamknęła, to przecie będą miały za co klasztorną szkołę przejść. Byłe początek — szepotała. — Okrutnie mi ciężko szło, Bóg przysłał miłosierdzie.

Poprzysięgła ciulać i składać na Kraków, gdy tylko do domu wróci. Trzy lata na Władka czekać, to przecie można jakie grosiwo zbierać.

Nie bała się ciemności i lasu, bo się miała czem cieszyć i ciepło jej było, radość rozgrzewała jej serce, śmiała się do siebie cicho w duchu i modliła. Grozy ciszy i wyiskrzonego od gwiazd nieba nie bała się, tak jej serce grało radością wielką. I samotności się nie bała, lubowała się w niej, była sama z myślami swemi wobec Boga. On ją prowadził i słuchał... Marząc, na jakich to ludzi chłopcy jej wyrosną, przyspieszała kroku.

Niebo się rozjaśniło, gwiazdy bladły, mróz pod nogami coraz silniej skrzypiał; raptem stanęła przed karczma, w której popasała, jadąc saneczką. Teraz ją dopiero strach wziął, zapłakała, sama nie wiedząc czego, stukając do szyby okna, aby jej otworzono.

Minęły dwie zimy w ciszy i spokoju. Lato przechyliło się na drugą połowę, dni się powoli zmniejszały, gdy do obejścia Porębskich wrócili chłopcy. Razem ukończyli szkołę; Władek na przyszyły rok, gdy się odżywił na chlebie klasztornym, dogonił Antosia. Obydwa przynieśli świadectwa jednakie z odbytych nauk i jeszcze kartkę od przeora do matki, w której chwalił jej dzieci.

Matka, wiedząc, kiedy przyjadą, wyleciała o świtaniu do dróżnika. Pierwsza ich chciała zobaczyć, uściskać, nagadać się z nimi, macieszyć.

Władek odczytał świadectwo głośno i kartkę przeora, spłakała się z radości.

— Wyrosli, jakże okrutnie wyrosli! — powtarzała — Władek w śmigłości pójdzie za Porębskimi. Antoś jakoś na mnie patrzy.

— Wie matusia, że ci tak rosnę, że Antek co miesiąc mierzy mnie na drzewach i robi kreskę, a ja ją przerastam. Będzie ze mnie chłop!

— Pierwsze i najważniejsze jużemy przebiegowali, ale teraz trzeba się przysposobić do drugiego.

— Mamy czas! — zawołał Władek — takim ci teraz mocny, że zalecę do Krakowa.

Zaczął skakać: całować matkę.

— A teraz do domu, matusiu, do domu.

Okrutnie mi się cni za Marysią, obejściem i ojcem!

Pożegnali dróżników. Władek biegł naprzód, podnosząc nogi w górę i uginając je pod kolanami, jak każdy góral, jak jego ojciec.

— Antoś, cóż myślisz?...

— Do Krakowa, matusiu. Żebym miał paść, muszę.

— A Władek?

— I on już w chałupie nie usiedzi. Uczy się dobrze, okropną ma kalkulację, odrazu wszystko zrozumie...

— Ojciec go nie chcą oddać.

— Ucieknie!

— Uciec łatwo, lecz z czego będzie żył?

— A ja z czego? a pójdę!

Zamyślili się oboje.

— Byle tylko ten rok przebiedować, to na drugi znajdę zarobek.

— Bez te dwa lata uciułałam coś do czterdziestu papierków.

— To o resztę fracha! — zawołał uszczęśliwiony chłopiec.

Matka również uwierzyła w wielką ilość uciulanych pieniędzy, lecz bała się o Władka. Chłopak urósł, zmężniał, ojciec będzie go chciał osadzić na roli i nie puści do miasta. Ucieknie i zmarnieje!

Zadygotała ze strachu.

Władek dopadł oplotków i krzyżąc: „Marysia!” wbiegł do obejścia.

— I ja skończyłem razem z Antkiem szkołę! — wołał — a teraz do Krakowa, do Krakowa!

— Nie wołaj tak głośno — mówiła Maryś, całując go.

— Dlaczego nie mam wołać?

Dziewczyna chciała powiedzieć: „bo tatuś usłyszą”, lecz się zatrzymała, z obawy, aby brata nie przerazić.

— Bo... bo... widzisz, matusia idą z Antosiem.

Uwarzyłam wam obiad, ale może po księżym nie będzie wam smakował.

— Byle ino dużo mleka. Za mlekiem jestem stęskniony!...

Marysia, nie czekając odpowiedzi, zbiegła na dół do Antka i matki; Władek poleciał za nią.

Wracali razem, gwarząc wesoło. Chłopcy z uciechy o mało ze skóry nie wyskoczyli. Nie chcieli jeść, póki nie obejrzeliby stajni, a w niej dwóch krów i dwóch wołów na wypas na polanie ojcowskiej.

Wielką niespodzianką był dla nich młody, silny konik. Wyprowadzili go; Władek chciał go dotknąć i lecieć po ojca; matka wstrzymała chłopca, mówiąc, że razem po obiedzie pójdą, że ojciec jest na łące, kosi trawę od rana.

— I ja ojcu pomogę! — zawołał Władek.

— Uradzisz to kosa? — mówiła wylekniiona kobieta.

— Zobaczysz mama!

— Powiedź mu, żeby nie próbował, jeśli chce do Krakowa jechać — szepnęła do Antosia.

— Chodźcie, chodźcie — nalegała Marysia, otwierając drzwi do izby.

I kluski im smakowały i ziemniaki z mlekiem gorącym. W izbie długo nie mogli usiedzieć. Maryna woły i krowy pognęła do lasu na szczyty, na ojcowską polanę. Władek zabrał konika i poszedł razem z matką do ojca na łąkę.

Szymon kosił, raczej golił chudą, górską łąkę, ściągając paskiem dla lepszego rozmachu, wąskie biodra. Gdy zobaczył kobietę i chłopców, przy-

stanął, kosisko wbił w ziemię i zwrócił się do gromadki.

Synowie pocałowali ojca w rękę.

— Pokażcie świadectwa — rzekła matka.

— Ja ta czytać nie umiem — odparł Szymon — powiedzcie, co napisane.

— Że skończyli całą szkołę w klasztorze — mówiła Magda — i jeszcze jest pismo od przeora, chwalaące nasze dzieci.

— Chwała Bogu — odparł — skończyły się utrapienia, raźniej teraz pójdzie robota.

— Szymon! — zawołała wystraszona matka.

— Mówiłem ci, że jeśli ze starszego chcesz mieć księdza, nie sprzeciwiam się, ale młodszego nie dam. Odchowałem ciężką pracą la siebie, ale nie la świata. My se od gęby będziemy odejmować, a on się nauczy, odejdzie i nie spojrzysz na nas — tyle z niego będziemy mieli pociechy.

— Dzieci nasze tego nie zrobią.

— Chcę mieć dziedzica mojej chudoby i pomoc na stare lata, a nie światowca pchać na głód i miejską poniewierkę, zanim się czego dochrapię. Patrz, a toć czysty góral z niego. Śmigły, nogi jak u bociana, a szeroki w plecach. Widzisz, jak się bierze do kosy, zacięcie i przykład ma-ci moje.

Antoś pasł konika świeżą trawą i bawił się z nim, Władek kosą ojcowską golił trawę.

— Piętę do ziemi i puszczaj lekko z rozmachem! — wołał ucieszony ojciec, patrząc na chłopca. Kosiska nie ścisłaj, a jedź niem, jakbyś piórkiem wodził. O tak! dobrze!

Zwrócił się do żony.

— A ty chcesz mi takiego pomocnika odbie-

rać i na stare lata sierotami mnie i siebie robić. Na to nie zezwolę. Umie tyle, że będzie najrozumniejszy na całą Porębę i ani żydom, ani światowcom nie da się oszukać. I cóż mu więcej potrzeba? — Ale tybyś go chciała widzieć panem, żeby się we dworach po kanapach rozwał. Kmieciem przyszedł na świat, to i kmieciem zostanie. Chłop jeszcze może być księdzem, to też starszego Panu Bogu na służbę oddaję, ale młodszy mój!

Spojrzała na koszącego chłopca.

— Lecutko! — krzyknął — bo się zmęczysz. Puszczaj płytko, niech sama goli, a ty ino kieruj. No i już mam wyreczenie — mówił do żony.

Chłopak skończył pokos i ocierał pot z czoła.

— Ciężko, ale miło — powiedział.

Matka chciała mu wydrzeć kosę, lecz przy mężu nie śmiała.

— Ty jeden pokos, ja drugi — rzekł ojciec — a na odpoczynek rozbijajcie mi trawę. Pokosy grube, łąka wilgotna, a jakoś na pogodę się zbiera, wiaterek od wschodu zaczyna.

— Będziemy rozbijać! — zawołał Władek. — Matusia grabiami, a ja zaraz sporządze widełki dla siebie i Antosia.

Pochwycił siekiere, dopadł do wielkiego krzaka jałowcu, uciął z niego dwa odziomki, okrzesał i wyrzucił parę widełek.

— Chłopak ma głowę i ład do gospodarstwa — mówił cicho do żony uradowany Szymon.

— Antoś, masz, te dla ciebie — zawołał Władek, rzucając mu jałowcowe widełki. — A nie puszczaj karego, zanim go nie spętam!

Z trawy ukłęcił powróšlo i niem przednie nogi spętał konikowi.

— Nie szkoda go do mieściska, do tych murów wściekłych, gdzie człek musi łeb do góry zadzierać, aby niebo ujrzał? — myślał Szymon, ostrząc kosę.

Naprzód stanął Władek, za nim Antoś, za nimi matka. Pokosy rozrzucane przez chłopaków mięły w powietrzu. Stary skończył pokos, kosę pochwyił Władek, naostrzył i dalej golić. Kosił coraz łatwiej i coraz zęczniej. Ojciec tymczasem rozbijał trawę z żoną i Antosiem.

— Czas i na mnie, żebym przestał tak bez upamiętania harować i starym kościom dał folę.

— Brdzo ci stare, jeszcze nie skończyłeś czterdziestki.

— Ale już ku pięćdziesiątce idzie. A po pięćdziesiątce u nas, w górach, patrzy się na księża oborę...

— Tobie o księżej oborze gadać — przerwała Magda — chłop, coby mógł, gdyby ino zechciał, żelazo jak patyk łamać.

Szymon nic na to nie odpowiedział, gdyż domyślał się, do czego żona zmierzała.

— Gadaj, co chcesz — powtarzał w duchu — a chłopaka na światowca i na miejską poniewierkę nie dam!

We dwóch, ojciec z synem, łakę przed wieczorem skosili. Władek rozpętał konika, założył uzdę, wskoczył na niego i pojechał naprzód. Stateczny Antoś, któremu się zdawało, że już jest w połowie księdzem, szedł poważnie między ojcem a matką.

— Ciężko wam szło w nauce? — spytał go ojciec.

— Ej, nie bardzo, a już Władkowi to się zdawało, że sama nauka idzie mu do głowy. Sama — powtórzył.

Matka rosła z dumy i uciechy.

— Przeczytał raz i już umiał — mówił dalej Antek — i albo się sam bawił, albo uganiał z chłopakami, a jak miał bądź nijaką książkę, to ją czytał, choćby cały dzień, póki nie skończył.

Ojciec, pogrążony w myślach, milczał.

— A skądże książek dostawał? — spytała matka, chcąc przedłużyć rozmowę.

— Od kogoniebądź. Od nauczyciela, od księdza, od braciszków, od organisty. Wszyscy go lubili dla jego zdolności. To była najlepsza głowa w całej szkole!...

— I będzie najlepsza w Porębie — zakończył pogwarę Szymon, gdyż mu się zdawało, że Antek, nauczony przez matkę, umyślnie tak gada, żeby razem z bratem do miasta jechać.

Matka po tem powiedzeniu westchnęła cicho, lecz głęboko.

Przy wieczerzy Szymon odezwał się do młodszego:

— Władek, jutro na świtanu w las, musisz mi pomóc przy obrachunku ze światowcami, boję się, żeby mnie nie orznęli. Czekam na ciebie.

Dobrze, polecimy, umiem galanto rachować! — zawołał Władek.

— A potem do miasta, boć w kasie rachunki. Trzeba obliczyć, wiele oddałem, a wiele jeszcze zostało. Kiej masz głowę i tyleś się nauczył, to powi-

nines być wyręką rodzicom. Któż lepiej pomoże, jeśli nie własne dziecko?...

Przed świtaniem zerwała się Magda, uwarzyła mleka, kluski zagniotła, żeby przecie chłopak na zimne rosy o głodzie nie szedł.

W klasztorze było mu ciepło, cicho, dostatnio i wszystko o swojej porze. Staremu się zdaje, że chłopaka odciągnie od książki, jak go zacznie ciągnąć w las do światowców i schlebiać mu. No, no, niech się on tylko naje tej wiejskiej uciechy, wróci do książki, tego jestem pewna i wierzę w to, jak w świętych obcowanie. Niech się razem ubawia, uwesela, a potem do Krakowa!...

Westchnęła ciężko.

— Skąd wziąć, na Kraków dla dwóch? Skąd, mój Boże jedyny, kiej na jednego nie starczy.

Szymon spał w stodółce na sianie, po wschodzie słońca wszedł z siekierą za pasem, gotów do drogi.

— Obudź chłopców! — zawołał.

W pół godziny później wszystko pięcioro siedzieli za stołem przy misie mleka, wyławiając twarde, czarne kluski. — Szymon uśmiechał się tryumfująco, był w dobrym humorze, opowiadał o światowcach i o zarobku, jaki przy nich mieć można.

— Mało szelmy płacą — mówił — ale przynajmniej jest przez całą zimę zarobek i grosz do grosza, gdy się składa, rośnie. Gdyby nie światowcy, kasa sprzedalaby naszą chudobę i trzebaby było wziąć kij w rękę i iść na gościniec.

— Tatusiu, może mnie światowcy przyjmą za rachmistrza — zawołał Władek.

Zaśmiali się wszyscy, a najgłośniej Marysia.

— No, no, zobczycie, niech ja ino z nimi pogadam.

— Jeszcześ za głupi!

— Nie, tatusiu, ino za mały — odpowiedział Władek wesoło.

Matka dziwowała się przytomności chłopca, a Antos dodał, że Władek nieraz tak odpowiadał profesorowi albo księdzu, że aż kiwali głowami.

Ojciec rad przerwać te pochwały, nie były mu one na rękę.

— Leć zaprządź karego do biedki i w drogę — dał rozkaz.

Chłopak wybiegł; Szymon zwrócił się do żony i Antosia.

— Nie zawracajcie sobie głowy dziwami, bo mnie niemi nie zdziwujecie. Czy księża kiwają głowami, czy nie, chłopak zostanie na gruncie.

Nasadził kapelusz na tył głowy, dla chłopaka wziętą czapkę i wyszedł.

— Cóż ty na to, Antos? — spytała matka.

— Ja na to, że Władek tak zatęskni za książką, że w zimie za mną do Krakowa ucieknie. Znam go.

— To najprędzej się stanie — przyświadczyła rozradowana kobieta.

— Ojciec ani go dogoni, ani znajdzie.

— Ale za co będzie żył w Krakowie? — spytała.

— Niechno ino ja skończę pierwszą klasę i rozpatrzę się wśród ludzi...

— Dziecko, dziecko, cóż poradzisz?

— Wie matusia, że brat Kaspra Trznadla,

tego, co był z nami w szkole, jest w drugiej klasie i już sam się utrzymuje.

— Uczy drugich, ci mu płacą, żyje i jeszcze pono ciuła. A czyż to ja tego samego nie mogę potrafić?

Magda pochwyciła w objęcia chłopca i tuliła go.

— Antoś, coś mi w głębi serca mówi, że ty mi Władka wyprowadzisz na szeroki świat.

— Co nie mam wyprowadzić? — odezwał się chłopak z tą wiarą młodości w siebie, co cuda stwarza.

— Idziesz do jegomości, bądźże dla niego przychlebny, pocałuj go w rękę, powiedz mu, że pójdziesz na księdza, świadcz, jak ino umiesz. Cosik jegomość nie łaskaw na nas, boję się, żeby nie buntował ojca.

— Dlaczego, matusiu?

— Zły jest, że was dwóch posłałam do szkoły.

— Cóżto jegomość: szkodzi?...

— Chciał, żeby jeden został przy ojcu, bo dwóch księżam; być nie może.

— Będzie, jak Bóg da — odpowiedział Antoś z miną poważną i zawziętością chłopską, co mury głową wali, a swoje robi. Pożegnał matkę, poszedł.

Wrócił przed południem, niosąc książki pod pachą. Kilka było nabożnych, ale dwie rzetelnie świeckie. Opowiadał, jak go jegomość rad przyjął, częstował po mszy kawą, kazał się nawiedzać, dał książek, dwie świeckie do przeczytania, tylko Władka chce mieć w parafii przy ojcu.

— Nie będzie na niego łożył! — zawołała rozdrażniona Porebska.

— Nie będzie, matusiu, my sobie sam; damy radę.

— Sami, sami — powtórzyła, zaciskając pięści i błyszcząc oczyma, jakgdyby do walki szła. Świeckie książki obudziły jej ciekawość.

— Pokaż je — mówiła — jeszcze nigdy rzetelnie świeckiej nie widziała.

Jedną była „Wieczory pod lipą“, a druga powieść historyczna Bronikowskiego „Hipolit Boratyński“. Zaczęła ją czytać od pierwszej kartki z chciwością i łakomstwem. Fantazja jej rozbudzona „Żywotami świętych“, rozkoszowała się w romantycznych obrazach i romantycznej miłości pięknej Barbary, księżniczki i królowej, do swego królewskiego małżonka. Wierzyła we wszystko, co przeczytała, albowiem ludzie nieprawdy przecieby nie drukowali. Cierpiała z królową, kochała króla, litowała się nad nim, a miała żal do panów. — Może mój Władek będzie takie książki pisał? — Strzeliła jej myśl i za nią dziękowała Bogu. — Chłopak, widzi mi się, jedyny będzie do tego. Jak ci zacznie co niebądź opowiadać, to ci zaraz takie historie rychtuje, że aż się słuchać chce... Jeżeli inni mogą, dlaczego by nie mogły i moje dzieci, przecie nie gorsze od drugich, a mój Władek wybrany jakby w korcu maku...

Antoś wziął się do „Wieczorów pod lipą“; czytał je systematycznie, ze spokojem i namysłem, jakgdyby zadaną lekcję odrabiał. Matka i syni zaczytani, żyli w świecie fantazji — czytali by do nocy, gdyby ich Maryś nie zbudziła wołaniem na obiad.

Szli: odurzeni i zmęczeni łakomstwem chwytania wrażeń.

— Cóż te „Wieczory pod lipą” — spytała Antosia.

— Ej, mamusiu, to żadne wieczory, to historia naszej ziemi, naszego kraju.

— O la Boga, nie wiedziałam. Jak tylko skończę historję o królowej Barbarze i jej mężu królu Augustcie, zarazczko wezmę się do tych „wieczorów”. Mój Anteczku, co to ciekawych historii na świecie, co to pięknych ksiązek na świecie, a my nic! Zabici jakby deskami od świata w tych górach siedzimy i nic nie wiemy. Mój Boże, wy będziecie szczęśliwsi, będziecie mieć wszystko na oścież otworem, będziecie po książkach hulać, może sami pisać.

Jak Bóg da — odpowiedział Antos.

— A ja przy was!... Z matką będziecie się dzielić.

— Każdziutką książeczką, każdziutką nowiną. Przecie nas matusia zna.

— Znam, znam, cieszę się i to będzie cała moja nagroda za wasze odchowanie.

— Może się i jaka inna znajdzie — dodał Antos.

— Ostatnia izbina na plebanji, ciepło tam, jak w uchu. Dla matki ją zachowasz.

— Kiej nie wiem, czy księdzem zostanę...

— Nie? Kiej nie, to nie, nie pcham cię gwałtem na księdza, tylo bądź mądrym, to chleba kawałka nie zabraknie. Nie chcesz, nie zniewalam cię. Tyle ludzi księżmi nie są, a kawałek chleba mają.

Chciałabym się na starość wnuków od was dochować.

Przed wieczorem, kiedy słońce kładło różowe smugi na ciemne lasy szczytów gór, młody góralik drapał się hyżo pod górę do zagrody Porębskich. Szymon szedł za nim, prowadząc konika, ciągnącego biedkę.

— Matusi! — zawołał.

Magda struchlała, chłopak stanął na środku izby i zaśmiał się wesoło.

— Władek! — zawołała Maryś.

— Władek! — powtórzył Antos, matka zalała się łzami.

Władek zrzucił gunię i zdjął okrągły góralski kapelusz.

— Ojciec tak ci mnie wystroił i wyrzchtował! W krepciach nijak nie mogłem chodzić z początku, a teraz są mi miłsze, jak buty, same pchają w górę nogi. Abo spodnie zapinane na haftki?

Ujął się pod boki i zaczął drobić góralskiego. Wyszywania na przodzie migotały.

— Daj pokój — szepnął mu Antek — nie widzisz: matusia płaczą.

— Matusiu — zwrócił się do Magdy — i czego?

Przypadł do niej.

— Chłopa chcą z ciebie zrobić — szepnęła.

— Ej, ej, mamy jeszcze dość czasu tem się turbować. Będzie, co Bóg da. A czym w guni i krepciach, czy w surducie i butach, jednakó będę się uczył, byle było ino za co!

— Ojciec chcą mieć cię chłopem — rzekła cicho matka.

— A ja chcę być panem i będę, przekona się matusia.

Ujął matkę za szyję, całował ją i tulił się do niej.

Drzwi zaskrzypiały, wszedł tryumfujący Szymon.

— Wystroiłem ci chłopaka, jak lalkę na pokaz. — Rozśmiał się serdecznie. — A teraz dawajcie jeść głodniemy, jak wilki na wiosnę. Chłopak ma głowę, nie dał się światowcom, a checi mnie orznać na jakie trzy papierki — obronił. I w kasie wiemy, co mamy, co się spłaciło i wiele jeszcze trzeba zapłacić. W starostwie tak samo. Wszystko skalkulował i jakoś obroniłszy się... I za to sprawiłem mu guńkę, kapelusz i krepcie. Chłopem będzie, niechże się uczy szanować strój swego stanu.

I znowu się zaśmiał wesoło, rad, że mu się udało przebraniem chłopaka uwięzić na wsi i za-trzymać przy sobie.

Zapanowało głuche milczenie raptem i Władek posmutniał. Nie śmiał się odezwać, lecz widział boleść rozlaną na twarzy matki i smutek Antosia.

Po wieczerzy przemówił Szymon:

— A teraz spać, bo na świtanie nogi za pas i do roboty. Chłopski stan, to nie zabawka z książką, abo z piórkiem; to praca. Bądźcie zdrowi.

Chłopcy pocałowali go w rękę. Szymon poszedł do stodoły na siano.

— Cóżecie prze ten czas robili? — spytał się Władek matki.

— Antoś służył do mszy i od jegomości przyniósł dwie świeckie książki.

— Świeckie, a gdzie są? pokażcie!

— Co ci po nich, kiej chłopem masz zostać.

— To już mnie nie wolno na książkę spojrzeć?....

— A nie, bo to zbytki. Książka odciąga od roboty.

Antoś mu podał „Wieczory pod lipą“ i „Boratyńskiego“. Chłopak spojrział na „Wieczory“, rzucił się na „Boratyńskiego“ i pożerał go. Matka rozkoszowała się tym widokiem.

— Dosyc, dosyc — mówiła, zabierając mu książkę — jutro będziesz miał czas, a teraz połóż się, ojciec cię zbudzą na świtanie.

— Moja matusiu, jeszcze troszeczkę, okrutnie ciekawa historia. Jak to ten król kochał księżniczkę, chociaż jego poddana była. A taki piękny, a taki młody, chociaż i ona śliczności.

— Jutro, jutro — nalegała matka.

— Zgasiła lampkę; chłopak poszedł za Antosiem do komory, rozmarzony, porwany pięknoscią zakochanej pary królewskiej. Chciał marzyć o niej, gdy się położył, lecz sen ujął go w tej chwili w objęcia i powieki zamknął.

Nazajutrz rano wziął go ojciec do lasu, do pomocy.

Miał obliczyć cięcia, ile łokci desek wypadnie z kłoca zerzniętego drzewa, i ile wypadnie za nie zapłaty.

Po dźwignięciu kłoca i zaklamrowaniu, Szymon skoczył na górę, stanął i do swego pomocnika rzekł:

— Gdy natniemy, że się piła w drzewo scho-

wa, oddaj ją chłopcu, niech próbuje i uczy się. Może być z niego pomoc.

Chłopak rwał się do traczki, nowość go brała, lecz zaledwie spróbował, ustał, trociny zasypały mu oczy, a ręce zrobiły się ciężkie jak kłody, trudno je mógł udźwignąć.

— Więcej nie uradzę — szepnął i puścił piłę. Pomocnik ją pochwycił, Szymon w śmiech.

— Drzewo, jak i święta ziemia są ciężkie. A ja, jak rok długi, stoję na wierzchu i śmigam piłą, jak ty piórkiem. Wracaj do domu, a z obiadem przychodzić na łąkę, trzeba siano skopić.

Chłopak skoczył błyskawicą, leciał na dół, jak opętany, przeskakiwał rowy, strumyki, po kamykach przebiegał i dalej ścieżkami ku zagrodzie. Krepcie leciutkie i spadzistość drogi, same go pchały.

Dopał do chaty, ledwo miał czas ucałować rękę matki, obejrzał się za książką. Matka ją trzymała rozwartą na podołku.

— To matusia czytają — rzekł smutno — a takem ci do niej leciał, że małom nóg nie połamał.

— Odpocznij — powiedziała matka — napij się maślanki, tymczasem Marynia przypędzi bydło, pójdę z nią doić, a ty weźmiesz książkę.

— Co mi po maślanke? Wie matusia, będę czytał głośno.

— Ty jesteś na początku, ja przy końcu.

Chłopak usiadł smutny.

— Cóżes robił w lesie? — spytała.

Zamyślony odrzekł:

— Jeśli wszystkie światowe książki takie są, to i las niech licho porwie.

— Józci się gospodarstwo sprzykrzyło?

— Cały świat mi się przykrzy, jak mam światową książkę, a czytać jej nie mogę — powiedział cicho.

— No, to chodź do mnie! Tyś mój syn — szeptała — mój jedyny, czy w guni i krepciach, czy w sajetach; i nikt cię już nie ogłupi, bo ty do książki Igniesz, jak do miodu, jak do zbawienia... Masz, czytaj, a potem matce opowiesz. Czytać sama rada-bym okrutnie, ale na to zimy potrzeba. Dla gospodyni w lecie czytać, to przecie grzech. Masz, czytaj, boś do książki stworzony i ona się tobie należy. A jak tatuś przyjdą, schowaj ją, boby markocił, gniewał się, wydziwiał, a co ma być, to musi być.

— Tak, matusiu, co ma być, to i musi być!...

Chłopak, pochłonięty przez książkę nie odpowiadał. Antoś poliniował sobie kajet i systematycznie wypisywał wszystkich panujących królów z latami urodzenia, wstąpienia na tron i śmierci. Pod imieniem każdego drobnymi literami wpisywał wojny i zaszłe podczas jego panowania wielkie wypadki.

— Jak się tego nauczę na pamięć — mówił — dam Władkowi, a potem zostawię matusi.

— Cóż, kiej ja, moje dziecko, pisanego nie umiem czytać, bo i pisać nie umiem.

— To jakże matusia będzie czytywać nasze listy z Krakowa? Lecić z każdym do organisty?!

— Nie chciałabym. Kto wie, czyby wszystko dokumentnie przeczytał?

— Nauczę matusię.

— A czy już nie za stara jestem na naukę?

— Matusia w tydzień wszystko zmiarkują. Ja będę pisał, a potem razem będziemy czytać.

— Radabym okrutnie sama czytać wasze listy i z nikim się nie dzielić.

— Ja tu zaraz wszystko przygotuję. Napiszę litery drukowane, a pod niemą pisane i więcej nie potrzeba.

— Dobrze, dobrze, okrutnie jestem kontenta. Bawcie się, czytajcie, piszcie, ja do gospodarstwa.

Uszczęśliwiona, że odniosła nad mężem zwycięstwo i Władka przyciągnęła na swoją stronę, zabrała się z nową energią do pracy. Dusza jej drżała radością, chociaż ciarki strachu przechodziły na myśl, jakim sposobem i za co młodszego pchnąć do Krakowa.

— Chyba cudem — szeptała — czekajmy na cud!

III.

Lato biegło na skrzydłach.

Antoś nauczył matkę czytać pisane. Pisywał do niej listy, niby z Krakowa, które pod jego kontrolą dosyć gładko odczytywała.

Władek, po odczytaniu świeckich książek, chodził jak pijany. O tych wielkich dziejach mogła tylko myśleć wrażliwa jego natura. Na góry rodzinne patrzył z litością uśmiechem, lasy go nudziły, nie było w nich niebezpieczeństw!

Jesień szła, Antoś wybierał się do Krakowa. Częste narady z matką, jakim sposobem i Władka zabrać, nie dały żadnego rezultatu. Rozbiły się o opór ojca i brak środków.

— Nie poradzimy — mówił chłopak do matki. — Władek przez ten rok musi zostać w domu, bo ojciec się zaciął, no i nie ma za co. Na przyszły znajdę kondycję, a Władek pójdzie na moje miejsce i zawsze będzie jeden.

— Ale czy znajdziesz? — spytała matka.

— Będę szukał, prosił dyrektora, molestował, będę się dobrze uczył, to i Bóg pomoże.

— Zawsze szkoda roku dla chłopaka.

— Nikły, chudy, młody, niech odpocznie i skrzepnie.

— I zapomni, czego się nauczył.

— A od czego matusia? Niech przy matusi przez zimę powtarza.

— Alboż ja wiem jak i co?

— Władek matusi pokaże, nauczy, będziecie razem przechodzić!...

— A potrafię?...

— On potrafi, a matusia by nie potrafiła? Przyjadę na święta, to was oboje wysłucham.

Matka się rozradowała. Uczyć się razem z dzieckiem, z ukochanym Władkiem, to dla niej rozkosz. A bojąc się, żeby ją próżność nie brała, powtarzała w duchu:

— Przecie to ja niego, ja mego syna, żeby nie zabaczył klasztornej nauki. A że i mnie coś kapnie, to i lepiej, bo nauka nikomu nie wadzi.

Uspokoili się i zgodzili z losem. Cały rok będzie mieć chłopaka przy sobie, skrzepi się i dopiero — w świat.

— Ho, ho, czuję, że już nie zgłupieje, książka ci go pochwyliła i trzyma, że się jej nie wydrze.

Z całą namiętnością rzuciła się do wyprawienia Antosia.

— Jeden drugiego pociągnie — powtarzała.

— Matusiu, musicie mnie zawieźć do Krakowa — prosił Antoś. — Mieścisko wielkie, ludzi mrowie, o cyganów nie trudno, a ja przecie jeszcze młody i trudnoby mi było dać sobie radę.

— Odwiozę cię, odwiozę, samego nie puszcę, nie miałabym sumienia. Będziemy razem w katedrze, zobaczymy srebrną trumnę św. Stanisława, groby królewskie, różności. Mało to ludzi od nas było w Krakowie!...

— Kaplicę Zygmuntowską — pochwyć Antoś — i Bóg wie nieco. Dużo wiem o Krakowie z „Wieczorów pod lipą“, ale gdzie stację znaleźć, tego, matusiu, nie wiem. Gdzie gimnazjum św. Jacka, albo św. Anny, także nie wiem.

— We dwoje damy sobie radę! — zawołała Magda.

— Musimy, mamusiu, musimy!

Dnia drugiego września wójt jechał do Limanowy i zabrał ze sobą matkę, chłopca i dużą, zieloną skrzynię z rzeczami i żywnością dla chłopca.

Na stacji kupili bilety, skrzynkę oddali na wagę i spokojni czekali na pociąg.

Zrobił się ruch, naczelnik nasadził czerwoną czapkę, służba biegła; jeden z nich otworzył drzwi i zadzwonił.

Wyjrżeli. Wielka maszyna wyrzucała białemi kłębami parę, sunąc po żelaznych szynach.

— Jedna minuta! — wołał konduktor — siadać!

— Siadać! — zawołało dwóch ze służby, porywając skrzynię.

Matka i Antoś pobiegli za skrzynią.

— Gdzie? — pytał ostro konduktor.

— Do Krakowa.

— Która klasa?

— Trzecia — odpowiedział wystraszony Antoś.

— Tutaj; prędko siadajcie... Gotów!

Gwidznął, odpowiedziała mu maszyna. Otworzył drzwi wagonu, wskazał ręką. Naprzód chłopak, za nim matka wdrapali się po wysokich stopniach. Konduktor zatrzasnął drzwi za nimi, pociąg natychmiast ruszył.

— Antoś, a skrzynka? — zawołała Magda.

— Wzięli ją, mam przecie kwit, nie zginie.

Oddychali ciężko, zmęczeni i zdenerwowani.

— Ale przecie jedziemy — przemówiła Magda.

— I za trzy godziny będziemy w Krakowie — dodał Antoś.

Wyjrzał oknem.

— Góry i góry, a pod Krakowem, pisza, galanta równia.

— Przecie świat ze samych gór się nie składa, a takie miasto, jak Kraków, nie miałoby co lepszego robić, jak rozsiadać się w górzyskach, jak Limanowa.

Wyglądali razem, patrząc ciekawie. Minęli Muszynę, Rabkę, zatrzymując się w Chabówce.

Konduktor drzwi otworzył, wołając:

— Pół godziny.

— Matusiu, napijmy się piwka, skrzepniemy i raźniej nam będzie jeść owsiany placek.

— Napijmy się — pochwyliła — bom jakoś okrutnie zmordowana, chociaż nie wiem sama czego.

Pokrzepili się na stacji, siedli do wagonu i przespali aż do samej Suchej. W Kalwarji wyglądali oknem, dziwując się kościołowi i wielkim stacjom, jak kościoły.

Magda z powrotem przysięgła sobie wstąpić do Świętej Pani, podziękować Jej za Antosia, a prosić za Władkiem.

— My tam se pogadamy — myślała — my się zrozumiemy. Matka z matką, obie kochamy. Ona Swego, ja! swoich! Padnę przed nią na kolana i zawołam:

— Matko ratuj! Więcej nie potrzeba...

Coraz większe horyzonty powstawały, ziemia równiejsza, szeroka, jak okiem sięgnąć.

— Jaki tu świat dziwny — odezwała się Magda, patrząc przytulona do Antosia.

— Płaski — odpowiedział chłopiec, — że aż tęsknica zbiera za naszymi górami.

— Ale ci bogaty. Patrz, jakie gęste brogi, jaka ścierń na zagonach, a jakie budynki! Ho, ho, okrutnie ci bogaty.

Zdumieni i wystraszeni bogactwem, przypatrywali się przez okna wagonu.

Na jednej stacji zapytała kobieta konduktora:

— Długo jeszcze do Krakowa?

— Zobaczycie go za kilka minut, lecz patrzcie z drugiej strony.

Przesunęły się na drugą stronę, zaciekawieni, że aż im serca były z radości i wewnętrznego lęku przed wielkiem, a nieznanem miastem.

Naprzód ujrzeli szumiącą rzekę.

— Wisła! — zawołał Antoś. — Cudna rzeka, spokojna a głęboka.

— Widzisz! — zawołała matka.

Chłopak się wychylił. Czerwone, wielkie wieże strzegły zielonej góry, opasanej murem.

— Wawel — szepnął Antek — a ta czarna wieża, to pewno z katedry, a na niej dzwon „Zygmunt”.

— To to Wawel — odetchnęła — wielki jak miasto, a Wisła myje mu nogi. Za Wawelem dopiero Kraków.

— Matusiu, ładnie tu, po nauce radbym tu przylatywać odetchnąć. — Spojrzał dalej. — Patrzcie, kopiec, tam, co jest o nim w „Wieczorach pod lipą”, usypany rękami ludzkiemi.

Kopec, otulony niebieskawą mgłą, stał zaparty w wieczność.

Pociąg szedł dalej, wyglądali rozciekawieni i przerażeni.

— Mieścisko wielgie — szeptała Porebska — i człekby w niem zginął, jak kropla w morzu, gdyby nie Bóg, co o każdym robaczku pamięta. Patrzaj, jakie ci wieże na kościołach!...

Pociąg objechał od Zwierzyńca miasto i robiąc półkole wolno, spokojnie wjechał na wielką stację.

— Kraków! wysiadać! — rozległy się głosy. Antoś wyskoczył i pomógł matce.

— Trzeba skrzynki poszukać i upomnieć się o nią — odezwała się Magda.

Antoś popatrzał i wraz z matką pobiegł w stronę wyładowywania pakunków.

Zobaczyli zieloną skrzynię i rozśmiali się do niej.

Urządник odebrał kwit i kazał im skrzynę zabrać. Matka z synem dzwignęły ją i poszły wśród przelatujących ludzi, nawoływań i śmiechów.

Antoś wyczytał głośno „Wychód”, zwrócił się w tę stronę.

Wyszli na szeroki plac przed dworcem kolei, kierując się za tłumem.

— Co będzie dalej, matusiu?—spytał Antoś.

— Co Bóg da — odpowiedziała — przecie nie wrócimy do Poręby.

— Nie — odpowiedział z siłą.

Stanęli przed wyjściem do plant; Antoś chciał się zapytać, czy wolno wejść do tego ogrodu, lecz widząc, że ludzie bez pytania wchodzi i wychodzi — poszli.

— Pięknie! — rzekł do matki.

— Przecie to Kraków — odparła z dumą kobieta — zna go cały świat.

Weszli w cienistą aleję wielkich drzew. Po obu stronach ławeczki, zajęte przez odpoczywających. Wystrojone panie, przy nich panowie.

— Wszystko sama szlachta, albo urzędniki — pomyślała Magda.

Ogród był duży. Z jednej i drugiej strony wielkie kamienice, ludzi mrowie. Magda, zmęczona i niespokojna, szepnęła do syna:

— Stanijmy!

Postawili na ziemi skrzynkę i usiedli na niej. Magda objęła Antosia w pól i przygarnęła do siebie.

— Trzeba się rozkalkulować i uradzić, co dalej robić; widocznie tutaj ludziska sobą tylko zajęci. Gdybyśmy tak w Limanowej na rynku usiedli

na skrzynce, dziesięciu żydów zarazby do nas przyleciało.

— A tu nikt się nawet nie obejrzy. Cóż matuś radzą?

— Nic, tylko się spytać. Jak zobaczymy jakiego pana, co mu nie pilno, to mu się skłonisz i zapytasz.

— Ale o co?

— O stancję, o szkołę, o bądź nieco, byle ino zacząć.

Antoś się zamyślił, lecz nie było innej rady, tylko się pytać.

Ludzie przechodzący rzucali na nich zdziwionym wzrokiem i pomykali dalej.

— Jakos nikogo nie widzę do zapytania.

— Znajdzie się — rzekła matka — byle cierpliwości — a w duchu dodała — sprowadzi go Święta Panienska.

Drogą szedł siwy staruszek, był jakiś rażny, ciekawy wzrok posyłał i zastanawiał się nad wszystkim, co zobaczył. Spozstrzegł Porębską i Antosia, siedzących na skrzyni, przyptarywał się im ciekawie. Matka trąciła syna, pokazując oczyma staruszką.

Antoś nie śmiał, ale siwy pan jakoś się uśmiechnął łagodnie.

— Idź, idź! — nalegała.

Chłopak się zerwał, zdjął czapkę i szybko powiedziało:

— Proszę wielmożnego pana, gdzie tu jest gimnazjum albo świętej Anny, albo świętego Jaka?...

— Zamknięte o tej porze — odpowiedział.

— A do jakiej stacji?

— Skądże jesteście?

— Z Poręby, z pod Limanowej — odparła Magda, która się również zbliżyła, mając na oku skrzynię.

— Do gimnazjum?

— Do pierwszej klasy. Chłopak skończył szkołę w Szczyrzycu i chciałam go dalej pchać. Niech idzie między ludzi dorabiać się kawałka chleba i rozumu.

— Ciężko — rzekł stary.

— My o tem wiemy najlepiej, lecz dlatego, że ciężko, to niema rady, trzeba się pchać.

Stary spojrział na Magdę uważnie.

— Chłopca oddajecie do pierwszej i o kondycję się staracie — uśmiechnął się.

— A choćby — rzekła Magda wesoło. — Wielu to on chłopców w klasztorze uczył.

— Za młody i za głupi.

— Ale pono nie święci garnki lepia — panno czku.

Stary się rozśmiał.

— Hardo patrzycie życiu w ślepią.

— Bośmy, chudobni, nie mamy co do niego zębów szczyrzyć i śmiać się.

— I cóż myślicie robić?

— Nie wiemy, gdzie się obrócić, to i czekamy miłosierdzia Boskiego.

— A jak nie przyjdzie?

— Zawdy muszą ludzie coś z nami zrobić, choćby pochować.

— Kiedy tak, to idźcie na Sławkowską.

— Albo my wiemy, gdzie Sławkowska i co to za jedna...

— Prawda, no to chodźcie ze mną!

Stary się kopnął naprzód jakoś raźnie, choć się zdawało, że leci na prawą stronę.

Na Sławkowskiej stanęli przed wielką kamienicą. Stary wszedł w bramę, za nim Antos, Magda i wielka skrzynia. Otworzył drzwi, dym, gwar i ciepło buchnęło na nich.

— Chłopak! — krzyknął — dla matki herbaty z rumem, a dla kawalera wielkie podśmietanie. Do tego ćwiartka chleba, masła dwa i gomółka sera, ja płacę! A teraz do ws, zacna młodzieży, się zwracam. Przyszły gimnazjalista pierwszy raz z matką w Krakowie, szuka stacji i kondycji. Pomóżcie mu.

Dwóch młodzieńców ze swemi porcjami mleka przysiadło się do stolika, przy którym siedział Antos z matką. Zaczęła się pogwara o wyborze gimnazjum i wyszukaniu stacji.

Stary słuchał chwilę, zapłacił i nieznacznie wysunął się przez główne drzwi na ulicę.

— Nie zgina — mówił do siebie. — Niech wszyscy tyle robią, co ja, a nie będzie głodu. Przyjęcie to kosztowało mnie 26 centów. Niech wszyscy dają po 26 centów dziennie i jeszcze niech wyszukają takich doradców, jakich ja im wyszukałem. Nie jestem idjotą i umiem pomagać ludziom.

— Tanim kosztem — szepnął mu ukryty w czeluściach mózgu krytycyzm. Stary stanął.

— A co ci durniu do tego? — odpowiedział — czy tanim, czy drogim, bylebym swoje zrobił. Ty-

siące koło biedaków przeszło i nikt nawet do nich gęby nie otworzył.

— Należało chłopca przyjąć do siebie, kuchenkę masz pustą a ciepłą, siedziałby tam, jak u Pana Boga za piecem, miałbyś wyрекę, rozrywkę, pomoc w chorobie...

— I nareszcie okradłby mnie i uciekł, a może udusił — krzyknął zirytowany.

— Nie wierzysz w to, co mówisz — odpowiedział mu djabeł, nurtujący jego mózg — oszukujesz się, aby sumienie zagłuszyć.

— Wierzę! — zawołał. — Dobrodziejstwa, które rozdajemy, tak się zwykle kończą, jak powiedziałem.

Stary pomknął naprzód żywo, aby pochłonać djabła, co w nim siedział. Machał ręką i śmiał się głośno.

Tymczasem w mleczarni na Sławkowskiej, po skończonym posiłku i naradach, Magda, powierzysz skrzynkę służbie, wyszła z Antosiem i dwoma gimnazjalistami, jako przewodnikami, szukać stacji. Chłopcy, również synowie włościańscy, znali na wylot biedę uczącej się młodzieży.

W Krakowie nie było co robić, Kraków drogi, a więc poszli na przedmieścia, na Czarną lub Nową wieś.

Porebską i Antosia ciągnęło do wsi, pochwylicili projekt z radością.

— Na Nową wieś najbliżej — mówili chłopcy.

— O nogi się boimy — odrzekła Magda — my górale latamy jak bocki.

— Wyjdę o kwadrans wcześniej z domu

i sprawa skończona — dodał wesoło Antoś, rad, że się na wieś dostanie.

Z plant skręcili na Łobzowską. Za rogatkami ciągnęła się długa, szeroka ulica.

— I to jest wieś — szepnął smutno Antoś.

— Zwyczajnie, jak przy wielkiem mieście — odparł gimnazjalista. — Widzicie ten drewniany domek na prawo, należy do Krupskiej, żony piekarza. Ona przyjmuje studentów na stancję; chodziłem tam do kolegi, nieźle jest, przynajmniej chleba i bułek, choć czerstwego, nie zabraknie do gorącego mleka.

— Dowiemy się — dodał drugi. — Pobiegnę naprzód i spytam się.

Chłopak wysunął się naprzód, a za nim wolno postępowali Magda z Antosiem i gimnazjalistą. Z lewej ich strony wynurzał się zielony kopiec, otoczony czerwonym murem, przysłonięty niebieskawą mgłą.

— A to Wawel — rzekł gimnazjalista.

Odwrócili się wzruszeni. Czerwone wieże, czerwony mur, zielone wzgórze, ciemna katedra stały zadumane, zapatrzone w niebo. Patrzeni, zapierając oddech w piersiach.

— Trumna świętego Stanisława — rzekła Magda.

— Batory, Sobieski — powiedział wzruszony Antoś. „Wieczory pod Lipą” grały w nim.

— Jutro tam pójdziemy — dodał gimnazjalista.

— Podziękować Bogu! — zawołała Porebska.

— I groby królów zobaczyć.

— Chodźcie, chodźcie! — wołał, wybiegając z domku piekarszowej, drugi kolega. — Jest miejsce.

Przyspieszylł kroku. Wyszła na ulicę powaźna, otyła piekarszowa. Pozdrowily się z Porębską i razem udały się do izby, za niemł młodzię.

— Dziesiątkę na miesiąc, to już co najmniej mogę od was wziąć. Inni bogatsi płacą po osmnaście i tylko dlatego wychodzę na swoim, że mi zjadają z gorącym mlekiem czerstwe, nie sprzedane bułki. Chłopak, widzę, choć młody, stateczny, będzie mi pilnował porządku i pomagał głupszym od siebie. U mnie święte życie, chłopaków nie głodzę. Brata mam masarzem, omasty nie brak, a chleba wbród. Widno, sucho, ciepło, w zimie trzy lampki na stół, a do szkoły w pół godziny zalecą.

— Mam ci wikt w skrzynce.

— A dobrze, to się zaraz porachuje, nic darmo nie chcę. No, zgoda?... jakże kalkulujecie? Tańszej stancji już nie dostaniecie, choćby w Łobzowie.

Porębska siadła zafrasowana.

— Niechże już będzie — rzekła, wyjmując z za pazuchy gałganek.

Zaczęła liczyć papierki.

— Wikt, co mam, przyjmiecie za jeden miesiąc, a tu cztery dziesiątki za cztery miesiące płacę z góry.

— Niechże i tak będzie. Zapłacone po pierwszego lutego. Właśnie mi jutro na jarmark gotówki potrzeba.

Porębska ostatnią dziesiątkę podała synowi.

— A to la ciebie, Antoś, na książki, kajety, różności.

— A dla matusi na drogę?

— Zalecę piechotę. Jeszczebym ciebie obdzierała? sumieniaby nie miała.

— Taki kawał drogi! — zawołał chłopak.

— Dam sobie radę, ludzie pomogą, przygarzną, przytulą i przebidują. A przecie jeszcze mam parę groszy w kieszeni.

— Nic nie chcę, jeżeli matusia tak, jak przyjechała, nie wróci koleją do Limanowej.

— Gadasz głupstwa.

— Ne chcę — zawołał — i wrócę z matusią.

— Walny chłopak — rzekła piekarka — i będą z niego ludzie.

Koledzy uczuli do Antosia sympatię i przyjaźń, matka pochwyliła go i pocałowała.

— Kiej już tak okrutnie dbasz o matkę i bosisz się o nią, a pieniądze cię palą, to niech i tak będzie; pojedę. Zaprowadzisz mnie na kolej, kupisz bilet i wsadzisz do wagonu.

Zaśmiała się.

— Miło, jak dzieciśka kochają i są dobre — rzekła piekarka.

— I od gęby sobie odejmują, aby ino matka jechała, jak pani.

Łzy wytrysły z oczu Magdy, lecz je czemprędzej otarła.

— A teraz lećcie po skrzynkę — zakomenderowała piekarka. — Matka przenocuje tu z synem, bo jeszcze chłopaków niema, a jutro rano na miasto i do gimnazjum. Cóż panicznie mówią? Gdzie? do świętej Anny zawsze bliżej.

— Do świętej Anny, bo i my od świętej Anny — oświadczyli.

— To i pomogą, pokażą, nauczą.

— Jutro będziemy przed świętą Anną czekać.

— Dobrze, a ja matkę i syna podprowadzę do Karmelickiej i pokażę.

— Po skrzynię! — zakomenderowali gimnazjaliści. — Porębski, uważaj, bo z powrotem już sam z matką musisz trafić.

Antoś, wychowany w górach, uśmiechnął się. Onby teraz trafił do mleczarni, tylko nie chciał pozbywać się towarzystwa kolegów, dobrych chłopaków.

Wieczorem, o zachodzie słońca, matka i syn, niosąc skrzynię, przeszli rogatkę. Na wzgórzu stanęli, postawili skrzynkę i siedli na niej. Słońce, otoczone złotymi chmurkami, schowało się za granatowy kopiec, wieże Wawelu wyskoczyły i przerażone, stały skąpane w świetle. Róż obejmował świat, zaróżowiło się niebo i zapłonęła ziemia, wiatr się schował, zapanowała cisza ciepła i rzewna. Promienie słońca, wydobywając się z poza kopca, kładły na murawę błonia róż, złocąc wierzchki drzew i szczyty Krakowa.

Siedzieli zapatrzeni, przytuleni do siebie. Ptaki umilkły — zdawało się, że świat stanął w biegu zasłuchany i zapatrzony w swoją piękność. Myśli pod ich czaszkami przelatywały: u Antosia szerokie, natchnione „Wieczoramí pod lipą“, u matki jak motyle nad głowami dzieci.

— Niczego mi do szczęścia nie brakuje — tylko Władka. Żeby on tu z nami był, dopieroby się radował okrutnie. Władka mi ino brak w Krakowie, w krakowskiej szkole. Ale Bóg miłosierny.

Antoś się zbudził i wrócił do równowagi.

— Na przyszyły rok, matusiu — mówił ser-

decznie — u tej samej piekarszowej będę miał stancję darmo za to, że będę drugich pilnował i uczył, a Władek przyjdzie na moje miejsce.

— A ojciec?

— Niech się matusia ojca nie boi, zmięknie ci on, jak przyjdzie czas. Cóż to, nie ma Boga nad nami? A czy my to chcemy czego nieuczciwego?

— Prawda, jest Bóg nad nami — zawołała matka i wstała.

Syn pociągnął ją za spódnicę.

— Tak mi się nie chce, matusiu, stąd ruszać, siedziałbym całą noc i patrzył, patrzył.

— Wiem, wiem, co ci się kotłuje we łbie, jakie radości i smutki. I w mojej to samo, tylo troska o was, o Władka, nie da mi się tak wluścić w to, do czego serce i myśli lgną. Chodźmy, jutro rano trzeba wstać, ogarnąć się, polecieć na mszę świętą do tego wielkiego kościoła na Rynku, pono Panny Marii, a potem do twojej szkoły, żeby cię zapisali, a dopiero, gdy się uspokojimy, na Zamek! Oczywiście trzeszczać i gębę rozdziawiać.

— A przed wieczorem na kopiec, matulu!

— A to się wie. Na kopcu bym nie była, a co bym powiedziała Władkowi i ludziom? On tam z ciekawości mało co ze skóry nie wyskoczy.

— Niech ino skrzepnie — rzekł spokojnie, pewny swego Antoś.

Poszli, dźwigając skrzynię za żelazne uszy, przybite po bokach.

Nazajutrz, po zapisaniu Antosia do pierwszej klasy gimnazjum, po obejrzeniu Krakowa, kościołów, katedry, pomników i odwiedzeniu kopca, zmęczeniu, lecz zarazem uroczyści, pokorni, a jedno-

częście dumni, wrócili na Nową Wieś, do piekarzowej. Młodzież już zjechała, Antoś się z nimi poznał i zarazem objął moralną władzę. Piekarzowa, praktyczna w tych rzeczach, wprawnym okiem odgadła przewagę chłopca.

— No, no — szepnęła do Porebskiej — syn wasz będzie tu niezadługo rządu trzymał i za rok dostanie kondycję.

Magda uściskała ją, myśląc o Władku.

Wieczorem wyszła razem z synem, chcąc się z nim nacieszyć i ugadać. Postanowili, że Antoś odprowadzi matkę na kolej, kupi jej bilet, wsadzi ją do wagonu, a dopiero wtedy pójdzie do szkoły.

Z powrotem u drzwi stacji Magda ucałowała syna, przycisnęła go do serca, ocierając nieznacznie oczy z łez.

— Matusiu — powiedział Antoś — gdybym zaspał, zbudźcie mnie zaraz po świtanii.

— Pewno — szepnęła i poszła do izby piekarzowej.

Raniutko zerwał się chłopiec sam, ubrał i czekał na matkę. Nie przychodziła, zajrzał do izby: nie było jej. Pomyślał sobie, że może jest w kościele na mszy, czekał. O szóstej wyjrzał na ulicę, obleciał domostwo.

— Matki szukasz? — zagadnęła gospodyni. — Już jej nie ma w Krakowie. Zaraz po północy zerwała się, spytała o drogę do Limanowej, pożegnała się i poszła. Dobrą masz matkę, toć ona umyślnie uciekła, żeby ci nie zabierać paru groszy na kolej. Ho, ho, matczyne serce, to nieprzebrane źródło; ale bo wy to umiecie cenić?!

Antoś nie słuchał więcej, smutny i zgnębiony

wrócił do izby, myśląc o matczynem sercu, co jak nieprzebrane źródło było miłością dla dzieci. Zaczął tęsknić za matką, Władkiem, Maryną, ojcem i ludźmi, za czarnymi lasami i za zielonymi polami. Tęsknił za przeszłością, dopóki obrazy nowego życia nie zatarły wspomnień. Została tylko wielka miłość matki i żal za nią ukryty w głębi serca.

Matka spytała się na rogatce o drogę na Podgórz. Na plantach zatrzymali ją wartownicy; opowiedziała im wszystko, podprowadzili ją na Stradom. Dobiegła do mostu i minęła go, na rynku podgórskim zdybała jakiegoś z waszecia, i ten jej rzekł, że do Limanowej musi iść na Bochnię i wskazał którą.

Dopiero na bitym gościńcu odetchnęła swobodnie, wciągnęła w płuca powietrze, stanęła i obejrzała się. Nikogo nie było na bożym świecie, nikogo...

— Ja tylko jedna! Tak to lubię, bo se mogę myśleć o dzieciach i z Bogiem pogadać, jedniuska. Nademną Bóg wielgi, jak cały świat, i Wszchemocny, a przy Nim Najświętsza Panienska patrzy na moje dzieci i myśli o nich i cieszy się niemi, są dobre i uczciwe, Jej, a potem moje! — zawołała z mocą.

Szła, ciepło było, cicho, w naturze spokój. Ciesza ta i ten spokój mówiły jej o wielkości świata, o tym nieobjętym ogromie i o tym cudzie, że ona malutki robaczek, a mimo to pamiętają o niej, o jej dzieciach, kierują jej krokami i jej losem. Wdzięczność i miłość wypełniała cały jej organizm uczuciem nieokreślonej rozkoszy.

— Zdaje mi się, jakby odemnie jakaś luna

szła, jak od tych świętych Pańskich, tak ci mi dobrze i tak jakoś czuję się bliska Najświętszej Pannienki. Mówią, że w taką ciszę aniołowie z nieba zstępują.

Spojrzała na niebo, było jasne, mleczna droga, jak rzeka, środkiem płynęła.

To pewnie droga, po której schodzą na ziemię — wyteżyła wzrok i słuch, zaczynała wierzyć, że słyszy delikatny szum skrzydeł.

Te uczucia religijne, wrobione na „żywotach świętych“, a zespolone z miłością do dzieci, wyszlachetniały tę serdeczną naturę, pełną prostoty i szczerości.

Przed południem zaszła do Bochni, spoczęła parę godzin, przespała się i dalej w drogę. Na noc stanęła przed wielką górą, przenocowała w karczynie i o świtanu poszła dalej. Czuła już góry, wiatr chłodny, świeże powietrze, serce coraz więcej rwało się do Władka, Marysi i męża, radaby na skrzydłach dolecieć.

— Jaką ci dobrą myśl miałam, aby uciec z Krakowa i nie dać Antosiowi wyprawiać mnie koleją. Dziecku zostało te parę grajcarów na wpis, papier, książki, a tu wydałoby odrazu połowę na mnie. A cóż to nie młoda jeszcze jestem, nie mocna, nie mogę zalecieć? Prawie, że już zaleciałam i co mi się stało? Jestem zdrowa jak krzemień i kontenta, że aż radość ze mnie bije.

Gospodarz wiół żyda z towarami, dała mu dwie szóstki, zabrał ją do Poręby.

Zdaleka zobaczył ją Władek i zleciał do niej na dół. Za nim przybiegła Marysia. Zapytań było bez końca i uciechy bez końca.

— A dajcież mi — mówiła — zajść do chałupy i odetchnąć. — A co spojrzała na Władka, głaskała go ręką po twarzy.

Dzieci usadowiły ją na ławce, że plecami mogła się oprzeć o ścianę. Oddychała rozkosznie, piła mleko, jadła placek owsiany, a dzieciśka zapatrzone w nią, czekały, kiedy zacznie opowiadać.

Mówiła długo, dzieci słuchały. Kiedy przyszła kolej na miasto, jego wielkość, na kościoły, na Zamek i katedrę, Władkowi z żalu i tęsknoty łzy zaświeciły w oczach.

— Zobaczysz i ty, zobaczysz — zawołała — pochwyliła chłopca i tuliła. — Skrzepnij tylko i nie zapomnij, czegoś się nauczył.

— Wciąż sobie przepowiadam — odparł chłopiec — i umiem wszystko tak dokumentnie, że gdyby mnie kto o północy zbudził, to powiem wszystko. A nie przywiozła matusia jakiej książeczyny?

— Nie, ale Antoś, jak się więcej rozejrzy, przywiezie.

— W zimie, a tu bez książki cni się okrutnie...

Matka zajaśniała radością.

— Niech ci się pocnie, to więcej będziesz o nią dbał.

— Alboż to mało dbam? O Boratyńskim i królowej czytałem trzy razy, a „Wieczory pod lipą“ umiem od końca do końca.

— Okrutnie ci się przydadzą w Krakowie i na Zamku. Wszystko będziesz wiedział, bo Antoś, co tam także pierwszy raz był, opowiadał mi z „Wieczorów“ i ja sobie przypominałam.

— Dlaczego ja nie pojechałem razem z An-

tosiem? — zawołał Władek. — Dlaczego on ma być lepszy odemnie, on ma wszystko umieć, a ja woły ojcowskie paść, dlaczego?

— Boś młodszy — tłumaczyła mu matka, uszczęśliwiona jego energją i siłą — ale i na ciebie przyjdzie kolej, zobaczysz. Niechno ino Antoś się obejrzy i zmiarkuje, to cię pociągnie za sobą.

— Je chcę zaraz teraz, choćby dziś lecieć! Nie puściecie, polecę sam!

Matka pochwyliła go w objęcia.

— Takiusieńki, jakem go sobie umyśliła i la tego mi nie zmarnieje i nie da się ojcu.

— Jeszczebyś nie zaleciał — odezwiała się głośno — a żandarmi, jakby cię zdybali, odprowadzili do domu i po wszystkim. Czekaj odrobinę, czas przeleci migiem i na bezrok pojedziecie razem z Antosiem koleją, jak panowie.

Tuliła chłopca i w duszy dziękowała Bogu, że się ulitował nad nią i dziecku dał taką moc i taki ciąg do książki na chwałę Swoją.

— Oj wyrośnie mi z ciebie, wyrośnie jakaś wielka moc i wielka chwała Imienia Boskiego. Imię twoje ludzie wymawiać będą z pochyleniem głów. Czuje serce matczyne, a ono nie zdradza.

Przyszedł Szymon, przywitał się z żoną serdecznie. Chciała go pocałować w rękę, lecz nie pozwolił.

— No cóż? gadajże, gdzieżeś chłopaka umieściła, jak mu się powodzi? i powiedz o tem wielkiem mieście, co ludzi jak mrowia, a kościołów i wież jakby drzew.

Teraz dopiero Magda zaczęła powoli, jedno po drugim dokumentnie opowiadać, od samego po-

czątku. Słuchali ją z namaszczeniem i rozciekawieniem, a najwięcej Władek, zazdroszcząc w duchu Antosowi. Gdy skończyła, Szymon rzekł:

— Widocznie Pan Bóg na swoją chwałę opiekuje się nim. I może jeszcze dożyjemy, że Porębski będzie proboszczem w naszej parafji. Ale za to my tu z Władkiem zostaniemy na roli. — Proboszcz pomoże, to się i dokupi Marcinową polanę, a może i skrawek lasu. Z Władka będzie gospodarz, co się zowie. Brat proboszcza, będę go ludzie szanować i wójtem obiorą.

— Nie chcę! — chciał krzyknąć Władek, lecz w porę matka spojrzała na niego i zatrzymała wybuch. Zamiłk, tylko łyż zaświeciły mu w oczach, nie mógł wytrzymać w chałupie i wybiegł.

Szymon popatrzył po izbie, spojrzał w oczy żonie, przeniósł wzrok na Marysię.

— Magda—rzekł z utajonym gniewem w głosie—chłopaka mi nie buntuj, bo jak Bóg na niebie, nie dam go na poniewierkę miejską. Cała wieś i proboszcz mówią, że mam prawo jednego chłopaka osadzić na roli, co z dziada pradziada nasza jest. Takie prawo i takie jest przykazanie Boskie. Nie przewracaj mu głowy, ja nie ustąpię, a w chłopaku ino fałszywą oskomę wzbudzisz, będzie cnił, rwał się do miasta i gotów jeszcze mi zmarnieć.

— Mój Szymku — rzekła spokojnie żona — opowiadałam, słuchaliście wszyscy, a że chłopaka gna do miasta, do nowości, to i nie dziwota, a że go ciągnie do książki, bo się z nią już zrośł i przywykł do niej, jak do powszedniego chleba. Nie będziesz miał już z niego pociechy w roli — nie!

— To niech go cholera weźmie! — wrzasnął

Szymon. — A cóż on to jest panicz, chłystek, mieszczuch, żeby mu rola śmierdziała i własny zagon, co? Wielu to chudziaków drży do zagona, a nie mają go? Niechby ino popróbował miejskiej biedy, żeby mu aż włosy zrzedły, a gęba pobieliała, toby dopiero zmykał.

— Pozwól, niech spróbuje.

— Nie pozwolę! Chłopaka mam la siebie i la rolę i padnę, a nie dam go nędzy jeść. To ty ino jesteś suka, a nie matka, co chcesz własne dzieci zagłodzić.

Magda błada wstała, lecz Szymon nie daj jej przyjść do głosu.

— Wiem, że będziesz gadać wielgimi słowami, nauczonymi z czarnej księgi. A ja ci powiem, że ta księga to nasze nieszczęście. Ona ci przewróciła we łbie, a ty teraz dzieckom przewracasz.

— Nie obrażaj Boga! — krzyknęła Magda — bo gotowo spaść nieszczęście.

— To nie wywołuj wilka z lasu i nie ciągnij mnie na pokuszenie, rozumiesz?

— Ja ino jedno rozumiem, że stanie się tak, jak Bóg będzie chciał.

— Będziesz uszy nadstawiała, żeby do ciebie zagadał?!...

— A może — odpowiedziała spokojnie.

— Głupia — rzekł Szymon i wyszedł. Bał się sporów religijnych z babą, która umiała czarną księgę na pamięć. A możeby powiedział jakie zaklęcie w złą godzinę; przesądny był, jak każdy góral.

Do izby wsunął się Władek z oczyma we

łzach; matka go przygarnęła, szepcąc mu do ucha z obawy, by mąż nie usłyszał:

— Nic się nie bój, stanie się to, co się ma stać, co się musi stać, to, co Bóg chce. Tylko się do tego sposób, czytaj, pisz, ucz się.

— Marysię uczyć pisać — szepnął chłopiec, ocierając oczy. — Napiżemy do Antosia wszyscy długie pismo o wszystkim i przypomnimy mu, żeby dużo ksiązek przywiózł ze sobą. Matusiu, ty to zrobisz, że będę razem z Antosiem!...

— Zrobi Bóg za mnie i za ciebie, tylo bądźmy godni Jego łaski.

— A cóż mam innego robić?...

— Nic, tylo trwaj przy swoim. On cię poprowadzi. Wierzę, jak w to, że słońce świeci, o On jest w niebie.

— Tatus nie puszcza!...

— Tatus dobrze mówią, dobrze radzą, ale po chłopsku. A tu prócz chłopskiej rady, jeszcze jest coś...

— Cóż?

— A bo ja wiem? Może cud, może zmiłowanie Boskie, może Jego wola.

Wtem wszedł gospodarz, chłopak odskoczył od matki.

— No, no, spekulujcie, jak chcecie, ale nie wyspekulujecie, bo za mną sprawiedliwość, prawo, cała gromada i ksiądz proboszcz.

— A za nami Bóg — myślała Magda, lecz bała się powiedzieć głośno.

Gospodarz był jakoś w dobrym humorze, kpinkował sobie, żartował, opowiadał o światowcach, o robocie w lesie, o urodzajach, o żniwach

i nadziejach na przyszłość. Myślał nad postawieniem drugiej stodoły i głośno robił projekty.

Władek się zapalił i pomagał ojcu w obliczaniu drzewa.

— A ty głupi — odezwał się przy końcu pogwary Szymon — chcesz uciekać do miasta, co ino kamienice na kamienicach stoja, zaduch, nijakiego wyglądu, nijakiego spojrzenia na Boży świat!... A wychylże się — wskazał ręką przez otwarte okno — i wytrzeszcz ślepią: dziesięć mil naokołusienko widzisz, jak na dłoni. A tam równie i równie, jak ten stół, i zdaje ci się, że mieszkasz gdzieś w dole, świat cały zapadł się w otchłań!...

Władek pocałował ojca w rękę i szepnął:

— Jak się nauczę, wrócę na swoje śmieci.

— I cóż ty będziesz robił? Nauka tak cię zezre, że do roboty nie starczy ci ani sił, ani ochoty... A cóż tu tobie i komu z twojej nauki przyjdzie? Do smereków będziesz gadał mądre słowa, co?

— Do samego siebie — odpowiedział.

— Ha, ha! — zaśmiał się chłop. — Do samego siebie? I na to potrzeba lecieć do miasta po mądrość, marnować pieniądze, siły i czas! Okrutnie jeszcze jesteś głupi, ale od tego ja jestem ojciec, żeby ci nie dać gadać do samego siebie, tyło cię nauczyć pracy, statku i gospodarstwa!...

Zapanowało przygniatające wrażenie. Matka przeczuwała, co chłopak chciał powiedzieć, lecz tego głośno powtórzyć nie umiała. I nareszcie bała się bronić syna przed logiką ojca. Czuć było w głębiach serc i mózgow ukrytą wojnę, bez jej wypowiedziania. Marysia w duchu sprzyjała wyjazdowi Władka do miasta, bo wtedy jej przyszły chłop

wziąłby grunt i spłacił braci. Nadzieje te chowała w głębi serca.

I znowu nastaly dni powszednie, pracowite, płynące cicho, lecz szybko. Szymon kupił parę chudych wołów, aby je wypaść na polanie i Władkowi je oddał.

— Nie będzie darmo chleba jadł — mówił do żony. — Na wołach przy jego pasaniu przyrośnie jakie sześćdziesiąt papierków. To i podatki zapłacone i połowa pieniędzy w kasie. Dziecko, to bogactwo, a ty je chcesz na zatracenie gnać do miasta?

Władkowi podobała się myśl pasania wołów na najwyższej polanie, z której zwózka siana była prawie niemożliwa. Zrobił sobie wielki bat z trzaskawką, serdak odwrócił do góry kozuchem i rano, wzięwszy w króbkę masła, a placek owsiany pod pachę, gnał woły na polanę, mając w zanadrzu „Boratyńskiego“ i „Wieczory pod lipą“.

— Gdyby tak były inne książki, cóżby mi brakowało? Matusiu, ulitujcie się, wyszukajcie inakszych książczyn, bo mnie na tej polanie tęsknica zezre.

Matka głaskała syna po głowie i całowała.

— I takie dziecko trzymać w Porębie, pakować mu bat do garści i gnać po całutkich dniach na polanę z wołmi. Ale się to musi skończyć, byle rok minął.

W jarmark limanowski pojechała do miasta, wpadła do znajomej woźnowej i zrobiwszy z nią naradę, poszła do sekretarza rady powiatowej z prośbą o książki dla syna do pożyczczenia.

— A jakich to chcecie książek? — spytał sekretarz.

— Bądźniejakich, dla syna, co pasie woły samiotki na polanie i okrutnie mu się przykrzy.

— W jakim wieku?

— Starszy już — rzekła, nie chcąc się zdradzić dzieciństwem Władka, — skończył szkołę u księży Cystersów w Szczyrzycu, dostał świadectwo i list od przeora. Czyta, jak stary, pisze gładko, rachuje galanto, rozum ma, pamięć ma!...

— To trzeba go dalej pchać — rzekł sekretarz — szkoda zdolności marnować.

— Czy ja nie chcę? A toć po całych dniach głowę suszę nad tem, jakby zrobić. Wysłać go, lecz za co? Biedniśmy, lasu ani skrawka, a cóż góral bez lasu? dziad!...

— Przecież są stypendja.

— Są stypendja? A cóż to znaczy, za pozwoleniem pańskim, stypendja?

— Kraj daje, rząd daje, ludzie się składają i zapisy robią dla ubogich, co się chcą uczyć, aby się zdolności nie marnowały.

— Kraj i rząd i ludzie i ja biedna kobieta z nimi jednego chcemy. Bo i ja się ciągle biedzę, że wielkie zdolności chłopaka zmarnieją na polanie.

— A co do książek, to mam dwie; gdy te odniesiecie, dam inne.

— Złocisty panie! tyleście mi radości powiedzieli. Kraj, rząd, panowie dbają o to, aby się chłopaki nie marnowali.

— Zdolni — dokończył sekretarz.

— Zdolni, to się rozumie i mój zdolny. Boże,

Boże! radabym ze skóry wyskoczyć. Kraj, panowie... a gdzież oni są? chcę do nich lecieć wołać: ratujcie i mojego.

— Musi naprzód skończyć pierwszą klasę, potem, to już sam dyrektor gimnazjalny poradzi i pokieruje.

— Dyrektor — powtórzyła — sam dyrektor.

— Antoś — pomyślała — jest w pierwszej i skończy ją, a potem już dyrektor pomoże. Władek wejdzie na jego miejsce. Kto mnie tu przysłał, kto przyprowadził?... Nikt ino Bóg, sam Pan Bóg czuwa nad moim chłopcem i pcha go w wielgi świat.

— No, cóż tak patrzycie na mnie? — przerwał ciszę sekretarz.

— Z wielkiej uciechy nie mogę słów złapać, ani gęby otworzyć. Biedne matczyisko ze swoim sercem nie miało nigdzie oparcia, a tu raptem znalazło! Niechże ci Bóg na twoich dzieciach błogosławi.

Wzięty za serce sekretarz dał dwie książki i przyrzekł dać więcej, gdy te odniesie.

Wyleciała na rynek. Jakieś szczęście biło od niej, świeciło w oczach, bo kumy ją pytały:

— Porębska, cóż tak płoniesz radością, jakbyś stówkę znalazła?

— I cóż? Jakbym znalazła, przeciebym oddała. Inaksza mnie radość spotkała.

— Macie pismo od syna?

— Mam pismo i radość mi serce rozpiera.

— A cóż będzie z Władusiem?

— Cicho, cicho — mówiła upojona — i dla Władka słonko zaświeci i Władek obje się mądrości

Boskiej i ludzkiej. Wy tej radości matczynej nie rozumiecie.

— Ej, ej, Porębska, wyście się nadto wlubili w chłopaków, nim i no żyjecie.

— Cóż to nie wolno mi kochać swoich dzieci aż do zagubienia?

— A chłop, a córka, a dobytek?

— Nie dbam to o nich?

— Ale ino chłopaki siedzą wam w myślach i nimi żyjecie.

— Żyję nimi, a robię swoje, to co mi sumienie każe.

— Ale serca nie dajecie.

— A co komu do mojego serca?

— Nam nic, ale się to może Panu Bogu nie podobać — odrzekła Rakoczyna.

Magda patrzyła na kumy wystraszona. Struły jej radość, zaczęła się bać, sama nie wiedziała czego. Cicho wysunęła się z otoczenia.

— I cóż im winno moje wlubianie się w synów? I miłość do dzieci im wadzi?! Niech mnie sądzi Bóg, który miał jednego i dał go na ukrzyżowanie za nasze grzechy. Ja mam dwóch i oddaję ich na światło, na naukę, a Ty Panie rób z nimi, co Ci się żywnie podoba.

Stanęła, wyprostowała się, jak gdyby cały świat wyzywała; wyciągnęła rękę i szeptała, wstydząc się wołać na rynku.

— Padnę, a dzieci moje muszą wiedzieć, co inni wiedzą... Co mądrzy i mili Bogu wiedzą — dokończyła, odetchnęła i tem postanowieniem wzmocniona, poszła do apteki na pogwarę. Lecz cóż, w aptecę tłok, ludzi huk, każdy o radę pytał.

— Przyjdę kiedy indziej — pomyślała, schowała książki, kupiła dla męża tytoniu, dla dzieci po kukielce, igieł i nici, byle nie wracać z próżnymi rękami, wyszła na gościniec w nadziei, że znajdzie konie z Poręby i przysiadnie się. Przez drogę świrowało jej w głowie: kraj, rząd, ludzie dobrej woli pamiętają o dzieciach, co się chcą uczyć. Moje chcą, moje zdolą, moje wiedzą, co to nauka.

Wieczorem, gdy Włodek wrócił z wołmi z polany, przypadł do matki.

— Są książki — szeptała mu — a ludzie dobrej woli dają la tych, co się chcą uczyć.

— Matusiu, ja chcę!

— I la tych, co zdolą.

— Albo może ja nie zdolę? Niech powiedzą księża, niech powie nauczyciel.

— Zdolisz — zawołała — i masz za to aż dwie książki — jak się niemi nacieszysz, polecę po drugie.

Chłopak uradowany obejrzał je i schował z obawy przed ojcem.

— No i radujesz się, że ludzie dobrej woli pamiętają o dzieciach, co się chcą uczyć?

— Słyszałem już o tem w klasztorze — odpowiedział.

— I Antoś wie?

— Lepiej jak ja.

— No, to chodź do matki, muszę moją radość wlepić w ciebie, bo mi serce wyskoczy.

Całowała go i pieściła, gładząc mu czarną czuprynę.

— Życie ludzkie przelatuje na trwodze i radości — szeptała.

— Ale jak skończę szkoły, to trwoga odleci, zostanie sama radość.

— Sama, sama wielga radość, żebym ino do-
czekała tej chwili. Ale Bóg przecie dobry, pokie-
ruje i uchroni.

— Matusiu, bo od czegoż on jest Bogiem?

Dni stawały się coraz krótsze i zimniejsze, mgła obsiadała góry, a późno z nich schodziła; potoki żałośniej jęczały, kamienie zwilgły i oślizgły. Władek w serdaku i krepciach, okryty gunią, przepasaną paskiem, gnał co rano woły na polanę. Drogę sobie skracał śpiewem i głośnym wy-
powiadaniem dziwacznych mów. Dziś nie śpiewał i nie rozmawiał ze sobą, ścisnął książki pod pachą, chcąc się przekonać, czy są. Woły szły w górę, wolno zdmuchując nozdrzami zimną rosę z traw, skubały ją i szły dalej. Lasy otulone granatową mgłą, stały zwarte, tajemnicze i ponure, jak przeznaczenie. Z za mgły wychylały się ciemne konary, jak ręce olbrzymów, majaczyły wierzchołki i znowu tonęły w mgle... Raptem wiatr zawył, spędził z lasów mgłę, drzewa wystąpiły, biała ich kora rozjaśniała ciemną barwę gałęzi. Woły poszły ostro, za nimi Władek trzaskał z bicza i śmiał się do siebie.

— Mgła uciekła, bo się mnie boi! Spojrza-
łem, pogroziłem, powiedziałem: zmykaj i uciekła!
W lesie rozniecę ogień, bydlatka będą zreć, a ja
będę czytał.

Polana leżała pod ostatnim szczytem wysoko,
droga do niej prowadziła krętymi ścieżynami, wy-
deptanemi w brunatnym igliwiu. Woły znały dro-

gę, szły same, za nimi Władek biegł lekko, jak sarna.

Czteromorgowa polana rozciągała się wśród drzew, zielona, świeża, wesoła, a nad nią blade świeciło słonko. Woły rzuciły się do trawy, Władek na wczorajszym palenisku rozniecił ogień, rozciągnął się przy nim i czytał.

W południe ogarnęła go tęsknica za ludźmi, pragnął z nimi pogadać, opowiedzieć, co przeczytał. O kilka stajañ na dole światowcy obrabiali drzewo i spuszczały je; zeszedł do nich, przyjęli go, jak swego, poczęstowali gorącym żurem z ziemniakami i zaczęła się wesoła pogwara. Światowcy, przeważnie bywalce, znali na całym świecie wielkie lasy, wielkie rzeki, wielkie miasta i dziwy o nich opowiadali. Chłopak słuchał, fantazją własną stroił słyszane dziwa i tęsknił za wielkimi miastami i tym czarującym światem. Wrócił do wołów smutny, pasły się spokojnie.

— One szczęśliwe — pomyślał — mają czego chcą i nie wiedzą, że je zarzną, a człowiek biednieńki nigdy nie ma tego, czego chce i nie wie, kiedy kolej przyjdzie na niego. Nie lepiej być wołem? Ale jeszcze żeby ludzi nie było, woły byłyby szczęśliwsze, boby robiły, coby same chciały. A tak muszą słuchać bata ludzkiego i iść pod ludzki topór.

Gałęzi na ogień przyłożył, owinął się gunią, położył przy ognisku i zrozpaczony, zazdroszcząc wołom, zasnął. Zbudziły go chrapania, otworzył oczy, przed nim stały woły, chuchając na niego ze swych nozdrzy. Usiadł, było ciemno, zerwał się, namacał bat, woły poszły znanemi ścieżkami, mru-
cząc z objedzenia i dobrego humoru. Władek w dal-

szym ciągu snuł porównania szczęśliwości wołów, z ciężką dolą ludzką.

Matka czekała na niego na ścieżce, wypatrując oczy.

— Władek, zaczytałeś się, daj książki, schowam przed ojcem, boby cię skłął, niecierpliw się i wygaduje.

— Zaspałem, matusiu, woliska mnie zbudziły, chuchając w twarz.

— To tak, jak w złobku na dzieciątko Jezus. Pan Bóg zawdy zwierzęta za swoją sprawą posyła.

Władek popatrzył na matkę i uwierzył.

— Matusiu — szepnął — jeśli mnie zbudził chuchaniem bydła, to może i do miasta wyprawi.

— Wyprawi! — zawołała — i jak my się ino uprzemy, pomoże.

Woły odeszły do obejścia, chłopak poleciał za nimi, matka pogodna wróciła do izby.

Postanowiono: woły wypasły się do tyła, że już na krótkie dni nicby więcej na nich nie przyrosło, należało pójść z nimi na jarmark.

— Sześćdziesiąt papierków przybyło na nich? — rzucił pytanie ojciec przy wieczerzy.

— A że tatuś za woły dali sto dwadzieścia, to należy wytargować za oba sto ośmdziesiąt.

— A co dadzą więcej, to będzie la Antosia — rzekła matka.

— A jak dadzą mniej?

— To już twoja strata.

— Dobrze, co dadzą więcej, pójdzie na Antka.

— Ręka?... Jak matkę Boską kochasz?

— Ręka! i jak Matkę Boską kocham.

— Idę z wami na jarmark, ale żebyś rzeźnikom z Krakowa i żydom cenił dwieście dwadzieścia.

— To mnie wyśmieją.

— Nie bój się, moja w tem głowa.

— Głupia, gdy tylko rzeźnik położy na nich łapę, pozna, że na trawie pasione.

— La szczęścia dzieci moich powiem, że na ziemniakach! — zawołała. — I Pan Bóg mi to przebaczy.

— Przebaczy, matusiu — szepnął Władek.

— A chociażbyś sto razy przysięgała, to on uwierzy tylo swemu rozumowi.

— Zobaczymy!...

Nazajutrz na gościńcu panował wielki ruch. Gospodarze zamyśleni szły naprzód szybko, parobcy pędzili bydło, za nimi kobiety, za kobietami wozy i konie. I znowu gospodarze, bydło i parobcy... Zdaleka robiło to wrażenie przesuwającej się armji duchów, taki panował uroczysty nastrój wśród górskiej mgły na górskim gościńcu.

Do Limanowy przyjechali kupcy z nizin, ekonomowie, żydzi; zamęt i targ, że trudno było gdzie woły w tym tumultie postawić.

— Dobrześmy trafili — szepnęła matka do Władka.

— Niech się matusia trzymają — odpowiedział.

— Tam, gdzie o dziecko moje idzie, nie ucz mnie, synusiu.

Zbliżył się do nich wysoki, chudy, z rozstrzępionymi wąsami ekonom.

— Wiele za te chudziaki?

— To hamany! — zawołała Magda — bez dzień trawa, na noc ziemniaki...

— Zkądście ziemników wzięli o tej porze?

— A o jakiejże to porze jedzą się ziemniaki?

— Nie mam czasu do gadania. Wiele za parę?

— Dwieście i pięć papierków. Dwieście la dla gospodarza, a pięć la mnie.

Ekonom machnął ręką i poszedł, ale przysłał faktora.

— Matko, zgódźcie się!

— Nie ustąpię ani grajcara i po próznicy nie trać ze mną czasu.

— Ile chcecie?

— Powiedziałem! I wolę zagnać woły do domu, jak opuścić choćby papierka.

— Bierzcie dwieście — zawołał zdaleka ekonom — bo czasu nie mam.

— Dwieście trzy i ani centa mniej! — zawołała.

Ekonom się zbliżył, wyjął zatłuszczony pugilares, z niego dwie stówki i trzy papierki zapłacił i poszedł; żyd poprowadził za nim woły.

Matka i syn spojrzeli na siebie.

— Kto przysłał do nas głupiego ekonomia? — szepnęła. Władek spojrział w niebo.

— Antoś ma prawie rok zapłacony. Szukaj ojca, bo będzie myślał, żeśmy się pod ziemię zapadli, a ja polecę zmienić stówkę w haptece — mógłby markocić.

Oddała mężowi pieniądze. Chłop był zły, że się tak dał złapać, bo jarmark był setny, było drogie, kupców moc. Ale przysiągł na Matkę Bo-

ską, bał się Jej gniewu i kary na dobytku i dzieciach.

Żona, chcąc go udobruchać, poczęstowała dwiema szklankami herbaty z arakiem, przyniosła kielbasy i bułkę, do tego kufel piwa. Chłopu oczy zaświeciły. Z Władkiem pobiegła na pocztę dwadzieścia papierków wyprawić Antosiewi. Sama pocziarka napisała przekaz i oddała im receptis.

Gdy wyszli z poczty, pochwyciła w objęcia Władka.

— Com się nie trapiła, żem po nocach nie sypiała, skąd wziąć dla Antosia? Bałam się, żeby go piekarka nie wygnała, gdyby nie miał czem zapłacić. No i Matka Bolesna w samą porę zesłała głupiego ekonomia. I Ona była matką i ona się trapiła o Swego i Ona cierpiała, zwyczajnie jak matka.

— Władek, jakoś nam idzie — szepnęła rozpromieniona.

— Idzie, matusiu.

— I musi iść!

— Musi, matusiu! — zawołał, pociągnął matkę za spódnicę, pochyliła się, pocałował ją w twarz. Wrócił do ojca.

— Schowajże mi receptis — rzekła do męża — Antoś nasz zratowany. Jakem ujrzała ekonomia z rówien, tknęło mnie coś w serce.

Chłop ocucony, popatrzał wściekły na żonę, tak mu okrutnie żal było dwudziestu papierków, lecz nic nie mówiąc, receptis schował.

— Jak zostanie jegomością, to mi musi oddać — powiedział.

W dziesięcioro! — zawołała Magda w uniesieniu radości.

Przed samem Bożem Narodzeniem mróz był tęgi niebo wyskrzone, gwiazdy na niebie stały nieruchome, jak roztwarte, świecące oczy, a na ziemi śnieg, droga równa ubita, w chatach świeciły ognie. Mimo mrozu i białego śniegu, wesoło było na świecie. Od studni wyleciała piosenka i zziębnięta wpadła do chaty przy otwieraniu drzwi lub uciekała do lasu, grzać się przy ogniskach świątowców.

W chatce chodzi po izbie Władek i rozgrzewał zmarzłe nogi, matka siedziała za stołem, Marysia kładła suche łupki na ogień. Trzaskały, a ogień się śmiał i iskrzył.

— Była poczta u wójta, ale od Antosia nie ma ani karteczki — mówił Władek.

— Chłopak nie ma za co przyjechać, na piechty zadaleko i w takie wielkie święto będziemy rozdzieleni — westchnęła. — A jakbym go chciała ujrzeć. Śnił mi się dziś w nocy, miał wąsy, pokręcał je, jak jaki frajter i uśmiechał się do mnie.

— Ej, od długiego już czasu, co noc mi się śni — mówił Władek — razem chodzimy do św. Anny i latamy po Krakowie.

— To ci się wyśni.

Ktoś drzwi sionki otworzył.

— Tatus — zawołała Marysia — chciała iść naprzeciw, lecz w tej chwili dało się słyszeć delikatne pukanie. Oniemieli, nikt nie śmiał się odezwać. Stukanie się powtórzyło.

— Kto? spytała się matka.

— Zmarznięta duszyczka chce się ogrzać przy kominie.

— Chodź, ogień dla wszystkich — mówiła wystraszona nieco Magda.

Drzwi się otworzyły na oścież.

— Antoś! — zawołał Władek i skoczył do brata.

Chłopak podbiegł do matki, objął jej kolana; oderwała go, pociągnęła ku sobie, całowała.

— Antoś, a niechże cię!

— Skądęś się wziął?

— Maryś, zapal!

— O la Boga rety, rety! — wołała Maryś.

— Jestem — mówił Antoś — i takim ci rad, jak bym się drugi raz narodził.

— Siadajże, ogrzyj się, rozgość.

Władek ściągnął mu gruby paltot, obstaąpiła go rodzina, Marysia postawiła zapaloną lampkę na stole.

— Gadajże!

— I cóż powiem, kiedy tyle do gadania, że nie wiem, skąd zacząć.

— Powiedz jedno słowo.

— Jeść mi się chce.

— Ha, ha, Maryś, uwarz mleka!

— A dalej?

— Że Pan Bóg czuwa nad nami!...

— Prawda — poświadczyli.

— Widzicie to grube palto, to moje. A wiecie za jakie pieniądze przyjechałem?... Za własne. A za co je mam? Za to, że z bogatym kolegą wszystkie lekcje przerabiał, cztery guldery na miesiąc, a gdy przyszła zima, podarował mi to palto.

— Antoś, toś bogacz!

— Piekarzowej do końca roku z uciulanych zapłacę. Byłem w teatrze, sprawiłem sobie nowe ciżmy, czapkę zimową, rękawice!...

- I nic nie pisałeś.
- Wolałem się sam pochwalić.
- Antoś, i weźmiesz mnie do Krakowa?
- Od wakacyj.
- Wiwat!

Władek rzucił się do brata, uściskali się.

— Gdzież ojciec?

— Powiózł światowcom deski do Mszany, jutro wróci.

— Książki przywiozłeś? — spytał Władek.

— Ale takie, żebyś się z nich uczył.

Władek posmutniał, lecz, robiąc dobrą minę, powiedział:

— Byle były.

— Zbiedniałeś trochę — rzekła matka.

— Trzymam się, matusiu, nic mi nie jest. Piekarka dobra, nie głodzi nas, a zawsze na podwieczorek dostawałem kawy u kolegi.

— Możesz ino wybielać?

— Pewno, nie mam utrapień. Rok ten przebieduje.

Marysia postawiła przed nim miszkę gorącego mleka.

— Z wami — zawołał — wolę łyżkę gorącego żuru, jak z obcymi marcypany.

Zabrał się do jedzenia z zapałem młodzieńczym, otoczony gromadką, wpatrującą się w niego.

Czekali niecierpliwie, aż skończy, aby go znowu zarzucić pytaniami.

— A teraz od początku — odezwała się matka, gdy Marysia wzięła ze stołu miszkę, a Antoś usta otarł.

— Zaraz, zaraz, matusiu, jeszcze cosik-tobolek zostawiłem w sieni.

Władek poskoczył i przyniósł płócienny kuferczek; Antoś go otworzył i wyjął z niego prezenty: dla matki i Marysi chusteczki, dla ojca i Władka wełniane białe, ciepłe rękawice.

— No, no, zamiast my tobie, to ty jeszcze nam — powiedziała matka.

Wszyscy razem ciekawie oglądali upominki. Gdy się tak sobą nacieszyli, Marysia rozpałała suty ogień na kominie, rodzina obsiadła go dokoła; Antoś zaczął opowiadać o szkole, nauce, dyrektorze, profesorach, o kolegach w klasie i na stacji, a najwięcej o bogatym Waławie Jaroszyńskim, co mu go Pan Bóg zesłał na pomoc w biedzie.

— Rodzice Wacusia powiedzieli, że na przyszły rok może będę razem z nim mieszkał i dostanę darmo wikt, a może jeszcze co na książki i bucięta.

— Matusiu, tak powiedzieli! — zawołał Władek.

— Tak powiedzieli — powtórzyła cicho matka, nie mogąc mówić głośno ze wzruszenia.

— Coś mnie tak pcha do Krakowa — zawołał Władek — że z Antosiem po świętach ruszam i nic mnie nie zatrzyma.

— Ej, Władek, nie masz rozumku, i cóżbyś robił, do gimnazjum cię nie przyjmą.

— Uproszę dyrektora.

— A z czego żyć? — spytała matka.

— Może znajdę drugiego Wacusia.

— Już pozabierali inni, co było do wzięcia — rzekł Antoś.

— Idź od wakacyj, to i tak będzie wielkie szczęście, bo ojciec nie chce cię dać.

— Ojciec nie może zabronić, kiej sam Pan Bóg mnie pcha.

— Ale ojciec może nie wiedzieć, że cię Pan Bóg pcha — zrobił uwagę Antoś.

— A jeśli ja wiem?

— Bo ty czujesz, moje dziecko — pochwyciła matka — i ja czuję. Ojciec nie siedzi w naszych sercach, a Bóg z człowiekiem zawsze przez serce rozmawia.

— To niech nam ojciec wierzy, co mówimy...

— Ojciec ma swój rozum. Ale jeśli Pan Bóg będzie chciał, to go oświeci.

— Oświeci — pochwycił Antoś. — A teraz opowiadajcie mi o wsi, o sąsiadach, znajomych, jegomości, o wszystkim.

I znowu potoczyła się pogwara, przeplatana wesołością i humorem.

Antoś przywiózł herbaty, cukru, bułek, częstował, rozmawiali, bawili się, cieszyli sobą. Matka w duchu dziękowała Bogu, że Szymon pojechał z deskami, bo gdyby był, nie byłoby ani tej swobody ani tej wesołości. Bałby się o Władka, podejrzewałby, że go Antoś buntuje i ciągnie za sobą, a tu co ma być, to musi być, zginiesz, a nie odwrócisz.

Matka rozkoszowała się synami i tą atmosferą nową, świeżą, idealistyczną, jaką Antoś przywiózł. Słuchała, wypytywała się, cała jej dusza chłoneła nowy świat radości i nadziei jej synów. Żyła w nim, rozwijała się, dusza jej rosła, fantazja kształciła się, rozszerzał się horyzont myśli. —

Młoda, zaledwo trydziestoparoletnia kobieta, tonęła w nowo odkrywających się przed jej oczyma duszy horyzontach.

Prosiła Antosia, żeby jej opowiadał, czego się uczy w szkole, słuchała go z rozwartymi, żrenicami. Nietylko cywilizacja przez chłopców przenikała do niej, lecz, mając dobrą pamięć, uczyła się razem z nimi.

Nazajutrz w wigilię przed wieczorem wrócił Szymon, ucieszył się w równej mierze synem, jak i jego sutym paltotem i rękawicami, które mu przywiózł.

— Ho, ho, bogacz z ciebie, kiedy gościńce przynosisz.

— Łatwiej w mieście o pieniądze — zawołał Władek z entuzjazmem.

Szymon spojrział na żonę, chłopaka i zamilkł ponury. Oczy mu błyszczały, był zły, wargi drżały, lecz nie chciał przy dzieciach zaraz w pierwszym dniu powrotu syna robić brewerji i kłótni rozpocząć w chwili, kiedy na świat Chrystus Pan przychodził. W wyobraźni jego rzeczywiście w tej chwili, w małym miasteczku Betleem rodził się Zbawiciel w ubogiej stajence. Smutny, żal do serca na dno serca schował.

Chłopcy wnieśli do izby snopek owsa, na stole rozesłano siano, okryto go białą płachtą i po złamaniu się opłatkiem obsiedli stół, dzieląc się wieczerną. Chłopakom najwięcej smakowały kluski z makiem i miodem. Antoś kupił dwie butelki piwa. Pijąc piwo, flukąc orzechy, śpiewali kolędy; ogień na kominie trzaskał, jasność i ciepło rozcho-

dziło się po izbie, na dworze mróz i cicho, jak ma-kiem siał.

— No i czy tu w izbie, we własnej chałupie, na swoich śmieciach źle, kiej w stodółce jeszcze zboże, a w stajence dwie krowy? I czy to sumienie poniewierać świętą ziemię, rzucać ją i uciekać? — rzekł spokojnie Szymon.

— Tatusiu, nikt świętej ziemi nie poniewiera ani ją chce rzucać. Ale to wasza ziemia i wasz dobytek.

— Wezmę ją z sobą do grobu, czy co?....

— Zostawisz nam, jeśli cię przeżyjemy — rzekł Antoś. — Ale i my chcemy mieć choćby własną głowę na karku, coby nam także dała zarobek. Mamy się gniesć razem na tych paru morgach i potem wszyscy razem biedę cierpieć na starość?

Szymon zamilkł, czuł, że chłopak kręci, ale nie był mowny i nie umiał na razie odpowiedzieć. Chciał zawołać: „Ja chcę mieć dziedzica mej chudoby, a nie urzędnika“, lecz się zatrzymał, bo o tem nie było mowy. W sercu coś go gryzło, spoglądał na Władka i zęby zaciskał, czuł, że mu go chcą zabrać, że chłopak się rwie, że gotów uciec i bał się tego, nie chciał opustoszeć w chałupie na starość.

— Jednego dałem na chwałę Panu Bogu, ale drugiego nie dam! — przysięgał w duchu.

Chłopcy zaczęli śpiewać.

„W złobie leży,
Któż pobieży
Kolendować małemu,
Jezusowi Chrystusowi,
Nowonarodzonemu“.

Wtórowała im matka i Marysia, ojciec, porwany melodją, pomagał basem.

Jakoś im dobrze było, serdecznie, dzieci zdrowe i dobrane. Matka nie spuszczała oczu z Władka, ojciec się w niego wpatrywał. Oboje rozumieli, że walka o chłopaka wśród nich wciąż trwa. Siła matki przeważała wpływ ojca, jako słabszego, mniej kulturalnego. Czuł to Szymon, złość i żal szarpały mu serce, lecz rozumiał, że jest bezsilny. Powodzenie Antosia występowało przeciwko niemu i straszło go.

— Nic nie pomoże, wydrze go i osieroci mnie.

Spojrzał na żonę, jakoby się chciał jej pytać, czy to prawda, czy się to stać może, i zobaczył, jak ślepią wrażała w chłopaka. Usta zacisnęła, palce kurczowo zamknęła, lecz milczała.

Późno w noc, gdy chłopcy poszli spać do komory, a Marysia położyła się na łóżko matki, Szymon, idąc do stajenki na nocleg, odezwał się:

— Choćbyś nie wiem jak chłopaka pchała do miasta, nie wydrzesz mi go.

— A czy ja go chcę wydzierać?...

— Skonam, a nie dam! — zawołał przyciszonym głosem.

— Bóg się rodzi, moc truchleje, a ty zaczynasz brewerować? Wiesz, jak się stanie? Stanie się, jak Bóg zechce! I cóż ty, biedny robaku, przeciw woli Boskiej? Przyjdą takie znaki, że się ukorzyysz i przekonasz. Wyśpij się, mój Szymusiu, bo jutro pojedziemy z chłopakami na sumę.

Uklęka przed łóżkiem i modlić się zaczęła.

Szymon powstał i poszedł do obórki, obejrzał bydło, obszedł budynki wystraszone, czy znaki nie

objawia się przez pożar albo pomór bydła. Przeżegnał się i szepnął:

— Boże, nie dajże mnie w starości na sieroc-two i nędzę, bez wyręki. Czegóż ja chcę?... Żeby osiadł na zagonie ojcowskim i Pana Boga chwalił...

Położył się, przemyślując, jakiby to były znaki, które mają go przekonać lub zmiękczyć.

— A możeby było lepiej odrazu ustąpić, nie czekając na znaki?... Nigdy! — zawołał, wstając ne werku i wyciągając rękę. — Idę za prawem Boskiem! Jeżeli jednego oddałem na chwałę Bogu, to drugi mój! Wydrzeć mi go, ale z życiem.

Piersiami robił jak miechem, nakrył się starym kozuchem i, bojąc się znaków, zasnął.

Magda modliła się o znaki na ziemi lub nie-bie, lecz nie przypuszczała, aby one miały przy-nieść szkodę. Spodziewała się znaków niebieskich świetlnych, lub w ludzkich snach przepowiedzia-nych. Rozmarzona dziećmi, śpiwając w duchu: „Bóg się rodzi” — usnęła.

W drugie święto Bożego Narodzenia jegomość poparł przy całej gromadzie Szymona, bo gdy go chłopcy witali, całując w rękę, powiedział:

— Pono starszego oddajecie na chwałę Bożą? To bardzo dobrze, chwalę się wam... Ale za to młodszy niechaj będzie pomocą ojcu, bo któżby po was dziedziczył... Ziemia potrzebuje gospodarza, a nie babskich rąk... i niech kobieta breweruje jak chce, nie puszczaj drugiego do miasta na panicza z marymonckiej mąki. Bo jak wszyscy zechcą być paniczami, kto będzie siał i żywił tych, co po mia-stach siedzą.

Gospodarze przyświadczyli, gospodynie głoś-

no potakiwały; Władek głowę pochylił na piersi i milczał, Szymon tryumfował.

Gdy wrócili do domu, a Szymon konia od sa-nek odpręgał, Magda pochyliła się do Władka, szepcząc:

— Książd to jeszcze nie święty, będzie tak, jak Bóg zechce. Kiej tyle zrobił, robi i resztę. Sumienie mi szepce, że na bezrok pójdziesz do Krakowa.

Nastaly wakacje, Antos przeszedł do drugiej klasy z odznaczeniem, przywiózł z sobą książki, a między niem; kilkanaście ilustrowanych zeszytów niekompletnych — dramatów Szekspira.

Matka i Władek obejrżeli po dziesięć razy rysunki, zabierali się do czytania, lecz oboje nie wiele mogli zrozumieć, najmniej matka, która po-cieszała się tem, że jeżeli synowie nie rozumieją, to i jej wolno nie rozumieć. Przyjdzie czas, że oni zrozumieją, to i matkę nauczą. Władek, czytając, zaczął przeróżne fantazje snuć.

Tymczasem podziemna walka w rodzinie nie ustawała. Dyrektor obiecał Antosowi stypendjum choćby na sto guldenów rocznie, lecz Szymon nie chciał słuchać o pozbyciu się z domu Władka. Chodził na narady na probostwo i tam utwierdzony w swem postanowieniu — trwał. Raz, gdy był dobrym humorze, napomknęła żona, lecz tak ją ostro skrzyczał, że nie śmiała więcej ust otworzyć. Posłała do ojca Antosia, lecz i jemu wyrazem usta zamknął.

Zaczęła się rozpacz, Władek płakał, matka

mu pomagała. I nie było ratunku, jegomość i cała wieś była przeciwko niej. Wszyscy gospodarze i gospodynie mówili, że byłby to wielki grzech kawał ziemi zostawić bez gospodarza i ojcowiznę marnować.

— A jeśli chłopak do czego innego stworzony? — mówiła.

— Stworzony do tego i tam — odpowiadali — gdzie przyszedł na świat. Urodził się chłopem, stworzony do roli, tem więcej, że syn gospodarski nie potrzebuje wycierać cudzych kątów. I w naszych górach można żyć i chwalić Pana Boga, o cóż więcej idzie?

Porębska, smutna, zrozpaczona, odchodziła nie odpowiadając.

Zaczęły się długie narady Antosia z Władkiem o ucieczce do Krakowa.

Postanowili, że Antoś przenocuje w Limanowej, a Władek w nocy wykradnie się niepostrzeżony z domu, polecą rano na dworzec kolejowy i razem pojedą. Pieniądzy na podróż miała dostarczyć matka, lecz gdy się przed nią zwierzyli, wystraszona ręce przed nimi złożyła.

— Dzieci, bójcie się Boga — mógłby mnie w okrutnym gniewie zabić. Nie idzie mi o nędzne życie, ale wtedy musielibyście obydwaj wrócić do domu i cóżby było? A przecie to ojciec ino mnie posądza, że was buntuję i pcham do miasta. Prawda, pcham was do nauki, bo wciąż mi serce mówi, że dobrze robię, że tak powinnam robić, że wielka chwała wypłynie stąd i Panu Bogu i na całą okoliczność.

— Na cały kraj — poprawił matkę Antoś.

— Na cały! — zawołała. Ale cóż, nie rozumie mnie tu nikt, oprócz was dwóch chudziaków takich jak ja.

— Więc co robić? — zapytał Władek.

— Nic, tylko czekać znaku. Bo, że Bóg, jeśli będzie koniecznie chciał, żebyś poszedł do Krakowa, da znak, wierzę w to, jak w zbawienie i czekam. Jeśli dla Antosia, pamiętasz, głupiego ekonomy przysłał, to da znak. Serce mi mówi, że da!

— Jaki? — pytał Władek.

— Wiem-ci to dziecko, co uradzone w niebie? Mówiłam ojcu o znaku.

— I cóż tatuś?

— Zaklął cicho i powiedział, że Pan Bóg chce, abyś na roli został. I gadajże z nim. — Zniżyła głos. — On cię kocha, ale poswojemu i chce, żebyś przy nim był. I jabym rada mieć cię przy sobie, ale wiem, co to rozum, co to przeznaczenie i co to chwala! Coś mi mówi w sercu, że ty ino na chwałę... i życiebym dała, żeby cię w tej chwale zobaczyć. I nie ustąpię, aż musi się stać to, o co proszę Boga i czemu życie oddałam.

— Więc cóż robić?...

— Czekać na znak, odrobinę czekać, moje dzieci. A nie, to gotowam uciec z wami, wyszukać se służby w mieście i pomagać wam...

Władek rzucił się matce na szyję.

Niebo czerniało, nastaly deszcze i zimno, mgły przysiadaly góry, ziemia oślizgła... Władek pędził parę wołów na górną polanę ścieżkami przez las, dokoła mgły tułaly się po lesie i zasłaniały świat. Chłopczyna, skacząc z kamienia na kamień, świstał batem wołom na strach, sobie na uciechę. Nie mogąc wprost pod stromą górę dostać się na polanę, obchodził ją dookoła, po mniejszych spadkach.

Mijał dołem porębę, na której światowcy skórowali ścięte kłocę i spuszczały je na dół. Nie wiedząc, że Władek z wołami przechodzi, spuścili naraz cztery sztuki drzewa. Chłopiec je zobaczył, leciały wprost na niego. Strach go spętał i oddech w piersiach zatrzymał, a jakaś siła nadludzka rzuciła go w lewo w kotlinę pełną liści — padł. Lecące drzewa skrzyżowały się, zatrzymały o stary pień i spiętrzyły jedno na drugie. Władek leżał pod niemi bez czucia. Jeden wół padł na miejscu, drugi uciekł.

Światowcy poszli za biegiem drzewa, aby odsunąć zawady i zepchnąć je dalej. Pod stosem zobaczyli leżącego chłopaka, oniemieli z przerażenia.

— Drzewo go zabiło! — zawołał jeden.

— Porębczak, syn Szymonów!

— Co robić?

— Lecić po matkę i ojca.

— Zabiją nas!...

— Nie damy się!...

— Cóż my winni, że chłopak przelatywał tędy, zasłonięty mgłą?...

— Patrzcie, i wołu drzewo strąciło!...

— Wół!... nieszczęście! teraz trzeba gnać, niech chociaż mięso uratują.

Powoli Władek oczy otworzył, zobaczył nad głową spiętrzone drzewo i zamknął je przerażony. I znowu oczy otworzył, drzewo pomacał, głowę odwrócił, zobaczył cztery sztuki drzewa, spiętrzone nad sobą i nie śmiał się ruszyć. Rozważał, jak długo przyjdzie mu tu leżyc. Może zmarznąć lub z głodu zamrzeć. Co się stało z wołami? Czy żyją?...

— Przecie światowcy muszą przyjść za drzewem, ale wkiedy?... Może wtedy, gdy wszystkie sztuki spuszcza?

Zebrał go lęk i niepokój nerwowy.

— Co się stanie — powtórzył. — A może Pan Bóg da znak?

Leżał długo, zdawało mu się, że całą wieczność, nareszcie usłyszał jakieś głosy. Światowcy wołali: „tędy, tędy”. Zagłuszył wszystkich przeraźliwy krzyk matki.

— Cicho! — wołał Szymon — patrzcie, wół!...

— Dziecko! — wołała rozdzierającym głosem matka.

I znowu cicho.

— Tu, tu — wydobyły się głosy światowców na wzgórkach.

— Moje dziecko! — ryknęła matka.

— Matusiu, ja żyję! — zawołał, jak mógł najgłośniej chłopiec.

— Żyjesz! Słyszycie! Żyje!

Magda, Szymon, dwóch gospodarzy, parę kobiet i światowcy stanęli nad złomem drzewa.

— Jezus, Marja! żyje... ludzie, słyszycie — żyje!

— I nic mi nie jest — wołał z po za drzewa Władek.

— Znak! — krzyknęła matka — patrzcie, palec Boży, cud! Zabił hamana wołu, dziecko zdrowe, nic mu nie jest. Boży znak! cud...

Uklękła, podniosła ręce w górę, kobiety za nią, światowcy zdjęli czapki.

— Boże Izraela, coś żydów przeprowadził przez morze Czerwone, uratowałeś mi dziecko. Bądź pochwalon!

— Ale teraz niechże przyjdzie drugi cud i chłopaka wyciągnie cało z po za drzewa, bo ja na to jestem głupi — rzekł naczelnik światowców.

— Łopat, siekier, motyk! — zakrzyczał wielkim głosem Szymon.

— Wykopiemy go, to jedna rada — przyświadczyli światowcy i popędzili do schroniska po narzędzia.

— Nic cię nie boli? — pytała się matka.

— Nic, matusiu, tyło mnie lęk zbiera, żeby te kłody drzewa nie obślizgnęły się i nie zwały się na mnie.

— Cicho leż i czekaj. Bo kiej Pan Bóg chciał pokazać znak, to ci nic nie będzie. Cud, cud! — powtarzała uroczyście, za nią kobiety.

Wrócili światowcy z narzędziami.

— Tędy musi iść przekop — wołał Szymon — to go najśnadniej wyciągniemy.

Rzucili się do roboty. Pomagał im Antoś i kobiety, odgrzebując liście. Robota szła gorączkowo, lecz trudno, chodziło o to, aby nie dotknąć drzewa,

a zrobić tak; otwór, przez który chłopca możnaby przeciągnąć. Przeszkadzały poplątane korzenie, Szymon chwycił za siekiere, uderzył.

— Tatusiu — mówił Władek — drzewa drżą od uderzeń siekiery i mogą się zesunąć.

Wszyscy pobledli ze strachu.

— Drzewa wiszą na włosku — szepnęła jedna z kobiet.

Szymon rzucił siekiere, zawołał o ośnik i nim przecinał korzenie. Pomagali mu światowcy. Motyki świsłały w powietrzu, łopatami odrzucano odkopaną ziemię.

— Już, już — szeptała blada o zsiniałych wargach Magda.

Szymon złapał za nogi chłopaka i delikatnie wyciągnął go otworem. Władek wyprostował się, ryknął serdecznym płaczem i skoczył do matki.

— Jest całutki, zdrów, a nad nim zawisł palec Boży! Jest moje dziecko, dla którego Bóg pokazuje znaki.

— Prawda — powtarzali wzruszeni światowcy, za światowcami kobiety.

Władek pocałował ojca w rękę i uściskał Antosia. Czy to skutkiem wykopania ziemi, czy poruszenia drzewa przez odcinanie korzeni, czy że nadgnięły pień nie mógł dłużej znieść ciśnienia, dość, że drzewa zaczęły się obślizgiwać, trzeszczeć i opadały na ziemię w miejscu, gdzie leżał Władek.

— Cud! — krzyknęła Magda i padła na kolana, za nią kobiety, za niemi światowcy z odkrytymi głowami, Władek i Antoś, a na ostatku Szymon blady, osłupiały.

— A słowo ciałem się stało i mieszkało między nami — powtarzała Magda, wznosząc w górę ręce i pochylając głowę, za nią zebrany lud.

— Abraham związał Izaaka i chciał go oddać na ofiarę Bogu; anioł miecz jego zatrzymał i wskazał mu baranka stojącego w krzakach! Tak i dziś chłopca mi ochronił, a wołu zabił na znak, że zwierzę służy człowiekowi.

— Do wołu, do wołu! — zawołałi świątownicy, łakomi na mięso. Za nim poszedł zamyślony, wzruszony Szymon. Skinął na Antosia.

— Leć po wóz, musimy go zaciągnąć do domu...

Schodził z lasu, niebo się roz pogodziło, a na znak łaski i przymierza trzy tęcze jedna nad drugą zawisły...

— Patrzcie! — mówiła Magda — Bóg chce z nami zgody, gdy tylko wartni Jego łaski będziemy.

Antos leciał naprzód, za nim kobiety, aby opowiadać cud; niecierpliwość ich paliła. Magda, z nią Władek, teraz dopiero wystraszony i roztrzęsiony, trzymał się spódnicy matki, idąc prawie w lunatycznym śnie.

Nie umiał sobie zdać sprawy z minionych wypadków.

— Władek, jakże to było? — pytała go matka.

— Nie wiem, nie wiem — szeptał. — Zobaczyłem drzewa z okropnym jękiem lecące na mnie, cośk mnie odrzuciło w bok i obudziłem się.

— Znak — powtarzała. — Bóg dał znak, ten, że naprzód rozdmuchał go w moim sercu. Bo

gdzieżby, jeśliby nie w sercu matczynem? Ale ludziska matki nie usłuchali, pokazał drugi znak.

Pochwyliła chłopca i tuliła do siebie.

— Matusiu, kiej Pan Bóg chce, żebym poszedł do miasta, to na podziękowanie Mu będę się dobrze uczył, będę dobry i sprawiedliwy.

— Wiem, wiem, że będziesz dobry i sprawiedliwy, bo dobroć w tobie od maleńkości jest. A że będziesz się dobrze uczył, to także prawda, bo inaczej znakuby nie było.

Przed domem czekała na nich gromadka kobiet i dzieci przywitać chłopca, na którym zawisł znak Boży i pokłonić się jego matce.

Kobiety głaszały Władka i całowały, dzieci patrzyły na niego z szacunkiem strachu. Magda opowiadała poważnie historję wypadku językiem czarnej księgi.

— Nie wierzycie, idźcie i obaczcie. A ja wam mówię, że do tego miejsca ludzie jak do świętego schodzić się będą. Idźcie pierwsze, bo to łaska Boska.

Kobiety, chętne łaski, poszły.

— Mamusiu — mówił Władek — zimno mi jakoś i pić się chce, dygoczę z tego lęku i całej historji...

— Co nie masz dygotać, kiej byleś tak blisko Boga!

Dała mu napić się mleka, wpakowała do łóżka swego pod pierzynę i otuliła. Chłopak zasnął.

— Stało się, czegom pożałała!

Wzruszona ukłękła przy łóżku, na którym spał chłopiec, podniosła w górę ręce i natchniona mówiła głośno:

— Zratowałeś mnie, Panie Boże, aby to ziarno, co z Twej łaski padło w me serce, wykwitło. Panie, dziękuję ci. Siedmioma mieczami przebiłeś serce Matki Twego Syna, a mnie dałeś ukontentowanie...

Wstała, usiadła na ławie, rozwarła czarną księgę z żywotami świętych, czytała, lecz myśli złapać nie mogła. Radość szarpała jej serce.

— Szymus — myślała — ani pomyśli teraz opierać się. Takiego trzeba było dla niego znaku!... I ziarno nasienia, rzucone ręką Boga w serce moje, wykwitło! Dopiero to latać będę do Krakowa do dzieci moich, do ich nauki i sama coniebażdż pożywię się przy nich!...

Schwyciła jeden zeszyt Szekspira, czytała, lecz jej się w głowie mąciło, nie mogła zrozumieć, nie była w stanie myśli skupić. Zaczęła myśleć o dzieciach i ten kierunek myśli był dla niej najrozkoszniejszym. Trzeba teraz chłopcu uszyć wyprawę, koszul choćby ze cztery i jakieś ubranko, aby się przecie mógł pokazać między ludźmi. Kiej nad Władkiem znak, to Antoś pewno stypendjum dostanie. Na jednego przecie wystarczymy. Co nie mamy wystarczyć? Jedna kasa zapłacona, a druga za dwa lata się skończy. Jakże jestem rada, że nad mem dzieckiem chwala rozpościera swe skrzydła, a Bóg znaki zsyła. Czem będzie, na jakiego człowieka wyrośnie, czy w pismach sławę uczyni, czy kościoły będzie budował, czy ludzi uczył, lub jakie inne cudowności robił... Boże, Boże, zawdy dziękuję Ci!... Ścierplam, zobaczywszy chłopaka pod stołem drzewa, ale jakem sobie pomyślała: znak, rozradowało mi się serce... Cztery koszuliny wystarczą

i dwa ubrania, a może jakim cudem Antoś postara się o palto na zimę. No, no, kiej tyle się zrobiło, to o resztę fracha. Sam Pan Bóg wyciąga chłopaka ze wsi, to teraz będzie o niego dbał...

Późnym wieczorem wrócił Szymon z Antosiem z miasta, wydobyl pieniądze z trzosa i położył je na stole.

— Weź wszystkie — rzekł do żony — bo to jego — wskazał oczami. — Nie chcę z nich ani centa. Rzeźnik kupił mięso i dobrze zapłacił, za skórę dostałem dwadzieścia papierków. Może wystarczy, a jeśli nie wystarczy, zapożyczę się a dam. Jakem zobaczył chłopaka pod stołem drzewa wiszącego na włosku, a tu nijakiego ratunku, o małym nie padł z tego lęku... Co Pan Bóg z niego robi, nie wiem, ale Mu go oddaję, niech go weźmie, kiej chce.

Otarł ręką zroszone czoło i lzy świecące w oczach. Pocałował żonę.

— Nie gniewaj się na mnie, mój Szymusiu — odparła Magda — ale Bóg rzucił w serce moje ziarno, wzeszło, rosło i nie mogłam być inna, tylo taka, jaka jestem.

— Bądź taką, jaką jesteś, bo ci ze ślepiów wyziera rozum i łaska Boska. Czekalaś na znak i znak przyszedł. Przecież i ja nic złego nie chciałem, jeśli se życzył, aby chłopak został na własnym zagonie. Ale jeśli tam — spojrział w górę — inaczej chcą, niech się stanie, jak chcą. Okrutnie mi żal dziecka.

— Szymus, a przecie go będziesz miał na każddziuskie święta, a jak przyjdą wakacje, to całe dwa miesiące możesz się nim nacieszyć.

— Pewno, ale to już nie mój, nie będę wiedział, jak do niego gadać, czy jak do urzędnika, czy jak do syna.

Mocno wzruszony, nieznacznie rękawem otarł oczy. Ruch ten spostrzegła Magda, przyskoczyła do niego.

— Zawsze to twoje dziecko i tak go wychowam, że cię będzie szanował, jak w przykazaniu. Czcij ojca i matkę twoją.

— No, niechta — szepnął Szymon — zawsze to będzie urzędnik, a nie moje dziecko, chłop z dziada pradziada Porębski.

— A choćby był królem, to cię będzie kochał jako syn, a ty mu jesteś i останiesz ojcem. — Pocałowała go w rękę. — Czy tak, czy siak, chłopakby się nie uchował, uciekłby do miasta i mógłby się zmarnować. A jeśli co będzie z niego, to nam przed Bogiem zasługa. Nie jesteśmy jeszcze starzy, pracujmy sami, tak jakbyśmy się ino co pobrali.

Mimo serdeczności Magdy, na twarzy chłopca malował się smutek i głęboki żal.

Weszła Rakoczyna z przywitaniem Chrystusa Pana.

— Wiecie co — zaczęła — kiej Pan Bóg tam w lesie położył palec i jakby cud okazał — pochylała głowę — to my, matkę z całej wsi, za składane postawiwa na tem miejscu wielki dębowy krzyż. Serce matek było zakrwawione, moja Magduś, w twojej osobie. Niech krzyż świadczy o miłosierdziu Boskiem, a naszej pamięci i dobrej woli...

Magda rzuciła się w objęcia Rakoczyny i na wspomnienie, że na włosku wisało życie jej syna,

rozplakała się. Dla honoru i ulgi kumie, plakała i Rakoczyna. Szymon stał zadumany, czuł się zgnębiony siłą wyższą, której uledez musiał.

V.

Magda odprowadzała chłopaków swych do Krakowa. Młodsze chciała dobrze ulokować, kupić mu ubranie, wyprosić u dyrektora stypendjum dla Antosia, no i pohulać z Władkiem, pokazać mu miasto, kościoły, Zamek, być z nim na Kopcu. Serce jej drżało na samą myśl tej wielkiej uciechy, że jej ukochany chłopak będzie razem z nią patrzył, razem z nią rozmawiał o tych dziwach pracy ludzkiej, razem z nią się cieszył.

— Boże, Boże — powtarzała w duchu — jakież Ty dobry i miłosierny, kiej tyle odrazu dajesz uciechy!

Lgnęła do dzieci swych nietylko sercem matczynym, ale i duchem. Przez wielką miłość dusza jej rosła, umysł łaknął, serce szlachetniało.

O szóstej, przed wieczorem, stanęli w Krakowie. Raźniej im było z małym pakunkiem, który niósł Antoś, skrzynia została u piekarszowej.

Wyszli na miasto. Władek oszołomiony tłumem ludzi, odjeżdżających powozami, nawoływaniem przekupniów, wielkim miastem, trzymał się spódnicy matki.

Magdę ten objaw podziwu i strachu cieszył niezmiernie. Co to będzie — myślała — gdy rynek obaczy.

Weszli na planty.

— Widziałeś taką ogród i tyle w nim gości?

Chłopak, zapatrzony, ogłuszony, nie odpowiadał.

— Chodź! patrz, dziwuj się i ciesz, jak ja, matka, cieszę się, że cię tu przywiodła i patrzeć z tobą mogę...

Władkowi oddech zapierał płuca z wielkiego wruszenia. Na młodą fantazję chłopca za dużo wrażeń od razu wpakowało się pod czaszkę. Antos zobaczył pustą ławkę, poskoczył do niej, zapraszając matkę i Władka. Usiedli naprzeciw teatru.

— Władek, jakże ci się wydaje?

— Cóż to za kościół? — zapytał chłopak, wskazując ręką.

— To teatr, co w nim grają sztuki takie, co przywozłeś.

— Szekspira? — zapytał.

— I inne, komedje, dramata...

— Komedje — powtórzyła matka.

Władek spojrział na matkę miłosiernie.

— Antos, byłeś tam? — spytała się Magda.

— Coś ze trzy razy.

— Drogo?

— Za dwie szóstki, a już za trzy to galantowidać.

— Pójdziemy — rzekła. — Co nie mamy pójść, jedno życie...

Władek pociągnął ją ku sobie i pocałował.

— A teraz — mówiła dalej — pójdziemy tą samą drogą, co rok temu i wstąpimy na luzynę, w to samo miejsce, pamiętasz Antos?

— Doskonale, ale pójdziemy przez Florjańską bramę i Florjańską ulicę, a potem skęcimy na prawo.

Wstali.

— Prowadź, jako świadom drogi.

Poszli szybko pod mury teatru i stanęli.

— „Kraków narodowej sztuce“ — przeczytał Władek wypisane złotymi literami i spojrział na Antosia.

— Miasto ufundowało ten gmach dla polskiej sztuki.

— A wkiedy, Antosiu, zawiedziesz nas do środka? — spytał chłopak.

— Jak będzie co dobrego, bo codziennie sztuki grają.

— A la czego codziennie nie grają dobrych?

— Kat ich wie — odparł zakłopotany pytaniem Antos.

Zawrócili ku bramie Florjańskiej. W tej chwili przejeżdżał przez nią tramwaj. Stanęli. Władek oczy wytrzeszczył.

— Chodź, chodź — nalegał Antos — to brama, przez którą królowie przejeżdżali i królowa Jadwiga...

— I my — dodał Władek z dumą.

Przeszli. Zdaleka wycierał kościół Panny Marii z dwiema wieżami. Władek się zatrzymał i pociągnął matkę za spódnicę. W tej chwili z wieży rozległ się hejnał, zwiastujący siódmą godzinę; słuchali uroczyście.

— Tak co godzina trębacz na wieży gra — rzekł Antos.

— Wesoło tu — odezwał się Władzio. — Jakieżci śliczności kościół!

— Wszystkie takie — dodała Magda.

— Matusiu, to ja cięgiem na to wszystko będę patrzył?

— Póki będziesz w Krakowie i nie zatęsknisz do matki, do naszych gór.

— Do matusi, prawda, ale do gór?

— Zatęsknisz — odezwał się Antoś — jako i ja zatęskniłem.

Na linj A—B opanował ich tłok ludzi.

Chłopiec ze strachu tulił się do matki.

— Ciężko wyżyć w takim tłumie... — szepnęła. — Ale-ci rynek, ale-ci rynek! Boże, Boże!

Z chodnika wydobyli się na ulicę. Stawali co chwila, patrzeli.

— Sukiennice — powiedział Antoś, pokazując ręką — a na górze obrazy. Zobaczysz je, jako i ja widziałem.

— Ale z matusią! — zawołał.

— Dobrze, dobrze, pójdziemy. Może z nas biedaków ciągnąć nie będą. A teraz Antoś, prowadź tam, gdzie nas pierwszy raz ten stary pan zaprowadził na mleko i na arbatę. Wszystko chcę sobie odnowić w pamięci i być z Władkiem, gdzie z tobą byłam.

W mleczarni zastali młodych kolegów, zasiadli przy jednym stole, Magda w środku, szczęśliwa. Z wielkiej radości kazała sobie i chłopcom podać kawy ze śmietanką, masła i bułek. Młodzież rozprawiała o wpisach do gimnazjum, o stypendjach, profesorach i kolegach. Upojona słuchała, ciesząc się wesołością dzieci, sama wesoła jak

dziecko. Przecież jej najgorętsze życzenia spełnione! Zdawało jej się nieraz, że śni i dotykała ręką twarzy, aby się przekonać, że to nie sen.

Władek się szybko ośmielał, wypytywał się kolegów o egzamin, bo może dlatego, że rok cały stracił, świadectwo ze Szczyrzyca nie wystarczy i każą mu egzamin zdawać.

— Jutro się egzamina zaczynają.

— Jutro — powtórzyła matka — a tu chłopak nie ubrany.

— Niech zdaje po góralsku! — zawołała młodzież.

— Nie, nie — protestowała matka — trzeba go przebrać, a panicze niech zaprowadzą i pomogą potargować ubrańko.

Ruszyli w szóstkę na ulicę Grodzką i w godzinę później Władek, przebrany za alaganta, jak mówiła Magda, szedł w towarzystwie kolegów zobaczyć gimnazjum świętej Anny, a stamtąd na Nową Wieś, na swoją przyszłą siedzibę, do piekarni.

Nazajutrz rano egzamin zdał z odznaczeniem. Dyrektor powińszował matce synów; wtedy Magda, wzięwszy na odwagę, prosiła o stypendjum dla Antosia.

Dyrektor wynotował szczegóły i powiedział, że na początek choćby sto dwadzieścia guldenów wykołała dla starszego.

Radość tak rozparła serce kobiecie, że zapłakała.

— Bo to ja sama jedna — szeptała — a wszyscy na mnie i ojciec chłopców i wójt i radni i jegomość i kumy z całej wsi. Dopiero odkiedy

Pan Bóg pokazał znak, zamknął im gęby, uwierzyli!..

— No, no, matusiu, nadto marni jesteśmy, żeby Pan Bóg dla posłania chłopaka do szkoły dawał znaki.

— A jednak — odparła uroczyście — Bóg zpośród malutkich wybiera sługi swoje.

— Przeczuwam, moja matko, że ty dalej zajdziesz ze swoją wiarą, niż my ze swoją filozofją — rzekł dyrektor.

Pocałowała go w rękę i wyszła. Na kurytarzu czekali na nią chłopcy. Rzuciła się w ich objęcia, ocierając oczy chustką.

— Cóż? cóż? — pytali.

— Winszował mi synów i powiedział, że choćby ze sto dwadzieścia guldenów dla Antosia wykołaczę.

— Hura! — krzyknął Władek, klaszcząc w dłonie. Antoś go zmitygował.

Pobiegli na dziedziniec, Antosia otoczyli koledzy. Powiedział im, że Władek zdał z odznaczeniem, lecz o stypendjum z wrodzonej chłopskiej ostrożności i strachu nic nie powiedział.

Na ulicy matka pociągnęła ich do kościoła św. Anny podziękować Bogu za znak, za egzamin, za stypendjum, za wszystko.

— To już jesteś gimnazjalistą — rzekł Antoś do brata. — Za ośm lat maturę zdajesz i wyjdiesz na człowieka. Słyszysz?

— Słyszę — odpowiedział Władek. — Ośm lat migną.

— I do Uniwersytetu!

— Jakżebym chciała dożyć tej chwili, moje

dzieci! Ale Bóg miłosierny nie oderwie matki od dzieci, póki na ludzi nie wyjdą.

— Matusia młoda, co nie ma dożyć. — I za ośm lat będzie młoda, a teraz się radujmy i weselmy.

Tupnął i podskoczył.

— Do miasta — wołał — na zamek — do grobów na kopiec!

— Wszędzie, gdzie z Antosiem byłam — odparła matka — pójdziesz ze mną.

— A w wieczór do teatru. Grają dziś *Obrońcę Częstochowy*.

— Od Szwedów — dokończył Władek. — Co tu uciechy, matulu. Pan Bóg wiedział, co robi, kiej mnie nakrył budulcem.

— Wiedział — poświadczyła matka.

W nocy, przy świetle księżycy wracali z teatru przez planty na Nową Wieś, zamyśleni i oczarowani.

— Matusiu — rzekł Władek — ksiądz Kordecki zuch!

Matka westchnęła.

— Ba — zawołał Antoś — trudno o lepszyc!..

I znowu nastała cisza. Szli przyspieszonym krokiem, słycać tylko było odgłos ich kroków i zdaleka wrzawę powracających z teatru.

— Wiecie — rzekła matka — piekarszowa śpi i nic tam nie dostaniemy, a okrutnie jeść się chce.

— Okrutnie — poświadczyl chłopcy.

— Chodźmy tam, gdzieśmy wczoraj juzynę jedli. Niech się dzieje, co chce, trzeba raz przecie

użyć świata i z dziećmi się nacieszyć. Antoś, prowadź!...

— Raz użyć świata! — powtórzyli chłopcy z zapalem.

— Stąd już blisko — mówił Antoś.

Przyspieszyli kroku.

Wielka izba o dwóch zakopconych oknach, oświetlona na środku wiszącą lampą, roiła się młodymi zapaleńcami dla sztuki. Wszyscy prawie goście wrócili z teatru. Ogólna i głośna rozmowa toczyła się o granej sztuce, młodzież rozprawiała z zapalem, wrażliwsi udawali aktorów przy ogólnym śmiechu. Starsi krytykowali utwór i grę aktorów.

We wrzawę tę wpadła Magda z chłopcami. Dla synów kazała dać podśmietnie z chlebem, a dla siebie szklanekę siadłego mleka. Lecz Antoś zaprotestował i polecił przynieść matce kawy, którą okrutnie lubiła, bułek i masła. Wladek zasłuchany usta otwierał, oczy wytrzeszczał, matka musiała go zbudzić, każąc mu jeść. Jadł, a słuchał i patrzył. Magda również rozkoszowała się wrzawą i wesołością młodzieży i chociaż niewiele rozumiała, cieszyła się, że jest w tym wirze lepszego świata i że synowie jej za lat parę tak samo będą tu przewodzić i rozprawiać, jak rozprawiają starsi ich kole-dzy. A ona wtedy, nauczona przez dzieci, wszystko rozumieć będzie.

— Matusiu — szepnął Wladek — i ja taką sztukę napiszę, jak ten z Poradowa, jak zdam maturę, zobaczy matusia.

— Napiszesz — odpowiedziała, głaszcząc go. — Piszą inni, dlaczego ty nie miał pisać?

— Prawda, jeśli inni, dlaczego i nie ja?

— Tyło odrobinę trzeba zaczekać.

— Odrobinę — poświadczył chłopak.

Młodzież wpadła na temat granej parę dni temu komedji. Jeden z nich udawał po kolei wybitniejszych aktorów w różnych rolach, koledzy się śmiali i bili brawo. Śmiał się i Wladek i matka za drugimi i okrutnie kontenta była radością dzieci i własnym szczęściem.

Późno w noc wracali na Nową Wieś, Kraków spał, wieże jego kościołów, zapatrzone w niebo, stały senne. Na niebie gwiazdy nieruchome, mleczna droga odcinała się od granatowego płaszcza, majestat nocy roztaczał swoje panowanie nad światem.

— Matusiu, jaki ten świat miły jest — szepnął Wladek.

— Jakże chcesz, moje dziecko, kiej go stworzył taki wielki Bóg.

— Prawda, wielki i dobry. Ale i my jesteśmy dobrzy i kochamy Go. Powiedz, Antoś!

— Jesteśmy uczciwi, bo i uczciwych ojców mamy.

— Matula dobra-ci, że ha! — zawołał Wladek. Objął ją w pól i tak szli razem. — Abo i ten teatr?... Co to za głowa tak wszystko ułożyć składnie, że jedno do drugiego pasuje.

— Jakby jaki dom, abo kościół — rzekła matka — wszystko na swoim miejscu. A co państwa, a co ci za stroje. Co to między ludźmi musi być pieniędzy!...

Westchnęła.

— A niechta — zawołał Władek, — Myśmy biedni, a i tak kontentni, cieszymy się światem. Oni zapłacili; za swoje siedziska może więcej jak po papierku, a my od nas trojga dziewięć szóstek i pewno więcej mieliśmy uciechy jak oni.

— Patrząc, kopiec — szepnął Antoś — a na lewo od niego ciemne mury zamku i czarna wieża!

Stanęli. Kopiec czerniał na widnokręgu i wieże czerniały. Granatowe niebo, zasiane gwiazdami, wielką arkadą otaczało zamek i kopiec. Dzieciom i kobiecie zdawało się, że w tej ciszy zamek i kopiec rozmawiają ze sobą. Wytężyli słuch. Z za Wisły dolatywały przyciszone głosy fujarki. Płynęły na kopiec, odbijały się od zamku i po rosie błonia dobiegały do stóp gromadki.

— Krakusy pasą konie na skoszonej łące i grają — szepnął Władek. Antoś milczał zamknięty w sobie. Matka w uroczystą tę chwilę dziękowała Bogu, że i z drugim synem stoi przed kopcem i zamkiem krakowskim.

Nie chciało się kobiecie wracać do Poręby, przyłgnęła nietylko do dzieci, lecz do ich nauki, rozrywek, rozmów, kolegów, do tego wszystkiego, co daje młodość i rwące się do życia myśli.

I została z dziećmi jeszcze cały dzień.

— Pojadę do Bochni, a dalej same mnie nogi zaprowadzą — pocieszała się, dodając: Jedno życie, a nie nacieszyłabym się dzieciškami. Nuż mnie Pan Bóg do swojej chwały zabierze?...

Drugiego dnia, syta wrażeń, odprowadziła chłopców do szkoły, była z nimi na mszy u św. Anny, a potem, wycelowawszy obydwóch, pożegnała

i smutna, jakby sierota jaka, odeszła na dworzec kolejowy.

— Zabieram ze sobą tęsknotę za chłopcami i to wszystko, com widziała i słyszała, i znowu lecę do tych, do których mnie serce ciągnie, do Szymona, Marysi, dobytku, obejścia i całej wsi. Takie już życie, tęsknota ino w sercach naszych gra, gnając nas z jednego miejsca na drugie. — I rok upłynie, zanim znowu zobaczę Kraków. — Ale wtedy Władek będzie mnie prowadził i rozprawiał w mleczarni z kolegami, a ja wtedy dopiero będę słuchać! Ale żebym to i rozumiała wszystko! Ciężko własnego dziecka nie rozumieć. I nie ma na to rady, chyba, że mnie wspomogą na książkach, abo jako oświecą, bo się dusza rwie za dzieckami, a boję się, żeby odemnie odbiegli. Nie chcę, żeby uciekali od matki i pójdę za nimi!...

Nie wiedziała, jak iść.

— To orliki gnają w górę, a ja, stara sikora, zostaję na grzędzie i patrzę, póki mi w chmurach nie zginą.

Rozplakała się.

— A czego, matusiu? — zagadnął ją chłop z drugiego przedziału wagonu. — Zgubiliście pieniądze, abo stracili kogo?

— Nic nie zgubiłam, nikogo nie straciłam, smutno mi po dzieckach i serce matczyne buchnęło płaczem.

— Wracacie do nich?

— Zostawiłam w Krakowie.

— W terminie?

— U świętej Anny w gimnazjum — odpowiedziała z dumą.

— Toście wielga pani: dwóch chować w gimnazjum na prefesurów, ajdukatów, sędziów, i jeszcze płaczenie.

— Z tęsknicy.

— I pewno z tego, że od was odlecą i nie będą tem, czem wy jesteście. Inaksi z nich ludzie wyrosną.

— Ja jestem głupia, a oni będą mieli rozum.

— Tym właśnie rozumem odlecą od was i nie będziecie mieli dzieci przy sobie, ino panów nad sobą.

Magda buchnęła znowu serdecznym płaczem.

— Kiej wam tak smutno, odbierzcie ich, niech siedzą z wami na roli.

Zaprzeczyła głową i zawodziła cicho.

— Mnie do nich iść, a nie ciągnąć do siebie...

Chłop nie rozumiał, pokręcił głową i zamilknął, siadając na ławie wagonu. Magda powtarzała w duchu:

— Mnie do nich iść, ale jak?...

Po powrocie do domu zastała dębowy krzyż, postawiony w miejscu, gdzie się drzewo wsparło nad Władkiem, na pamiątkę i na cześć, że w tem miejscu Pan Bóg dał znak i wolę swoją objawił. Rakoczyna kupiła za uzbierane pieniądze rośłego dębczaka, a światowcy z Szymonem z dobrowoli wyciosali z niego krzyż.

I znowu wróciły szarugi i długie wieczory, Szymon z wieczora zasypiał, Marysia biegała do rówieśnic prząść, swywolić i słuchać bajek o zaczarowanych księżniczках. Zostawała w izbie sama jedna Magda, a obok niej czarna księga, zapinana na żelazne klamry i światowe, potargane zeszyty

dramatów Szekspira. Chcąc zbliżyć się do synów, żyć się z nimi, rozkładała dramaty, czytała je, lecz nie wiele co zrozumieć mogła. Nie zrażała się jednak, wytrwałość chłopska grała w niej. Czytała po raz drugi, trzeci i dziesiąty i gdy czuła, że jej się w głowinie nieco rozjaśnia, że zaczyna po swojemu rozumieć, rada kładła się spać.

— Byle bliżej dzieci — szeptała zasypiając.

Szymon powoli przyzwyczajał się bez Władka w domu. Przed świtaniem wychodził z siekierą i piłą na zarobek, a wracał, gdy już dobrze ciemno było, jadł wieszczkę, dopytywał się o listy od synów, gawędził z żoną i Marysią i padał, jak kłoda na posłanie, aby znowu przed świtaniem się zerwać i drapać w górę do światowców po zarobek.

— Dobrze, że ich Bóg zesłał — mawiał do żony — bo inaczej chłopcy i kasy zżarliby nas tak, że ino torby przez plecy przewiesić i iść na gościnniec. Pomyśl: dwóch chłopaków w mieście utrzymać i kasy płacić! Ziarna, jak w górach, starczy za ledwo na swoją potrzebę, a cały zarobek, co przyrośnie na dwóch parach wołów, wypasionych na polanie, i te dwie ręce, co od świtu do nocy machają piłą lub siekierą tną. Ale kiej taka wola... — zwykle w duchu dodawał — żebym się sponiewierał, a synowie bez to dźwigali się w górę, niech się dzieje!

Magda przysuwała się i pieszczotliwie głaskała męża po twarzy.

— Myślisz, że i mnie się serce z tęsknoty nie kraje?... Lecz cóż robić, kiej taka wola i takie przykazanie, żeby rodzice dzieckom wszystko oddawali, nietylko krwi swoje, ale i siły. Od gęby sobie

odejmują i pchają w dzieci. A cóż dopiero, jeśli Bóg robi nad niemi znaki! No i teraz piszą, że na święta nie przyjadą; Antos ma pono jakiś tam zarobek, samego Władka nie chce puścić.

I znowu czekać pół roku, a ty, serce matczyne, cierp i milcz. Ale od czegoż serce matczyne, aby nie cierpiało dla swoich dzieci? I cierpię. A dni-ci rachowałam i godziny, kiedy wróca. Do Limanowej miałam po nich jechać, orzechów garniec dla nich na jesień uzbierałam. A co byłoby radości, a jakie gadanie! Nie przyjadą, a ty serce matczyne, milcz i waruj, bo to twoja dola.

— Nie przyjadą — powtórzył Szymon — a może i lepiej, bo potem jeszcze większa tęsknica obsiadłaby serce i ssala krew...

Magda pocałowała go, ocierając zapaską oczy; chłop wstał, poszedł do komory i leżał na łóżku, aby przed świtaniem drapać się w górę do światowców i znów cały Boży dzień machać piłą aż do znoju, lub ciąć siekierą, aż we łbie trzaska, wszystko dla dziecka, nic dla siebie...

Przyszła wiosna i ustroiła świat. Magdzie się zdawało, że na przyjęcie jej dzieci. Władek do niej pisał: „Matusiu, tylko czterdzieści dni, a ujrzę cię przecie. Czterdzieści kresek zrobiłem na drzwiach i codzień jedną ścieram. Okrutnie powoli ubywają. Żebyś to mogła przyjechać! Ale już lepiej, gdy nas odwieziesz. Okrutnie mi się cnie za naszą tam w górach wiosną, za słonkiem naszym i cieniem w lasach, za polaną moją! Boże, Boże, kiedyż przelecą te czterdzieści dni?!”

Magda czytała i całowała papier, lecz przed mężem schowała go za gorset; bała się, żeby nie

wziął tego do serca, że chłopak tęskni za rolą, a nie zostawił go.

— Ale on-ci tęskni za górską wiosną, za powietrzem naszym, za siną smugą lasów, za świeżą bryndzą majową, a nie za tą jałową rolą. I ja zrobię czterdzieści kresek na drzwiach. Nie, już tylko trzydzieści siedm, bo trzy dni list szedł i będę co dzień jedną zmazywać i patrzeć będę, jak znikają... Jak znikną, polecę po nich na kolej do Limanowej.

Dnie wolno znikaly. Gdy zostały ostatnie trzy kreski, sypiać po nocach nie mogła. Zmazała ostatnią na świtanie i poleciała do Limanowej. — Trafiła na pociąg, chłopcy z okrzykami radości rzucili się do matki, wyrosli, zbiednieli, ale im z oczu wyglądała nauka i jakaś smutna radość. Magda płakała.

Poszli do poczekalni trzeciej klasy i tam się roztasowali, jedząc majową bryndzę, chleb i masło. Pogwara była wielka. Gdy Antos poszedł po piwo, Władek szepnął matce:

— Matusiu, piszę sztukę do teatru, tylo żeby nikt nie wiedział, nawet Antos.

— Dobrze — odparła Magda.

— Tylo ja i matusia.

— Dobrze — szepnęła uradowana.

— Wierszami!

— Bój się Boga, umiesz to wiersze pisać?...

— Umieję; jak będziemy sami w chałupie, przeczytam matusi, co napisałem.

— Dobrze!

Pocałowali się i zamilkli. Matka była upojona.

— Ledwo co od ziemi odrosło i już pisze — pomyślała. — Znak się sprawdza! Boże, dziękuję Ci, żeś moje dziecko wybrał.

Wrócił Antoś z butelką piwa i szklanką. Zaczęła się ucztą wesoła, serdeczna, pełna wzruszeń. Władek z matką porozumiewali się wzrokiem, związani tajemnicą dramatu.

— A teraz tłoczki na plecy i w drogę! — zakomenderował Antoś.

— Będziemy się mieniać, bo jakżeby to wyglądało, gdyby odchowani synowie lecieli próżno przy matce, a matka im rzeczy niósła. Ze wstydu możnaby się skryć pod ziemię!...

— A że nie chcemy leżeć pod ziemię, matusia będzie lecieć przy nas próżno — oświadczył Władek. — A może znajdziemy na drodze wóz, to się przysiadzimy.

— Miło nam będzie iść wśród naszych gór. Im dłużej iść będziemy, tem milej, byle z matusią.

— Ej ty, przychlebniku — przerwała Władkowi Magda. — Już cię w mieście nauczone przychlebstwa.

— Władek prawdę mówię — bronił brata Antoś. — Stęskniliśmy się za matusią, ojcem, całą wsią.

— I za tem powietrzem i za naszymi latami. Jutro lecę na polanę, do światowców, i na to miejsce, gdzie się drzewo na mnie zważyło, a teraz krzyż stoi.

— Polecisz, polecisz, gdzie ino będziesz chciał.

Na drodze spotkali wracającego konim Bar-

tyzela. Stał, zabrał kobietę i dzieci, poczęstowany słodka, rażno pojechał.

Na wzgórzu przed obejściem czekał Szymon i Marysia. Dziewczę leciało całym pędem na dół do braci. Chłopcy pobiegli do ojca. Szymon głaskał ich ręką po głowach, lecz wstydził się pocałować. Zaczekali na matkę i razem wrócili do domu. Marysia poszła naprzód przygotować obiad.

— Wyrosliście, skrzepli, naukę się obuchali, to może przecie ojcu pomożecie. Spracowanym!...

Szymon odchylił rękaw od koszuli i pokazał sine, jak baty pręgi żył. — Trzeba siłom troszkę sfolgować, bo pękną.

— Nie bójcie się, tatusiu, razem z Antosiem łąkę skosimy, siano wysuszimy i zwieziemy. Te dwie morgi żyta razem z Marysią i matką zerzniemy, a tatuś będzie siedział na snopie i fajkę ćmił i gwarzył z nami.

— Trzeba pofolgować — dodał Antoś — a my radzi będziemy, gdy od nauki odpoczniemy przy robocie.

— Widzisz: dziecka dobre są i chętne, nie zepsute w mieście. Ty mi już nie chodź do światowców, sfolguj i spocznij, póki chłopak są w domu. Dobrze i dwa miesiące.

— Zanudziłbym się na śmierć — odpowiedział Szymon.

— No, to będziesz robił, co niewiela. Snopy wiązał, podawał na furę, woził do stodoły. Byleby ci się nie przykrzyło, a znoju nie zaznał.

— A kasy?... a podatki? chłopcy w mieście.

— Bez jesień, zimę i wiosnę zarobiłeś. przeszło dwieście papierów!

— I nic nie zostało.

— To i w kasach niewiele...

Szymon machnął ręką.

— Odpocznijcie przy nas, tatusiu — zaczął go prosić Władek, całując w rękę. — Odpocznijcie! przypatrując się swoim chłopakom, jak się dzielnie będą zwijać.

— Jutro na łąkę, tylko kosy wyrzucić — zakomenderowała matka. — A teraz chodźmy do żyta, zobaczyć, kiej na niego pod sierp będzie czas.

Wieczorem, kiedy się wszyscy uspili, matka zapaliła gaz, Władek wyjął z kuferka kajet, przylulił się do matki i wzruszony czytał: „Król Władysław Łokietek”, dramat w pięciu aktach, napisał Władysław Porębski, syn Magdaleny Porębskiej.

— A ty, przychlebniku! — zawołała i pocałowała go. Chłopak wzruszony czytał trzynastozgłoskowe wiersze, płynące spokojnie jak woda.

— Skąd tobie, dziecko, skąd tobie, w tym wieku? — szepnęła wzruszona kobieta.

— Matusiu, a skąd jabłoni na wiosnę kwiatami się okrywa i owoc wydaje? Alboż ona wie? Samo przychodzi... Potem będzie to, że król Łokietek, wypędzony, chowa się w grobach i jaskiniach Ojcowa, a lud go kryje, karmi, pilnuje, broni napaźniętego.

— Dziecko, i ty to wszystko sam!

— Byłem z dziesięć razy, a może i więcej w teatrze i napatrzyłem się na różne sztuki. Żałowałem tylko, że matusi ze mną nie było.

— No, to mi przeczytaj raz jeszcze, żebym sobie dobrze w pamięć wraziła.

Władek drugi raz głośniej i wyraźniej czytał trzynastozgłoskowe wiersze, pełne prostoty i dzieciństwa. Były one na wysokości pojęć matki. Rozumiała je lepiej, niż Szekspira, serce jej radowało się podwójnie, talentem syna i własną świadomością.

— A teraz spać, bo jutro macie łąkę kosić. Tylko, moje dziecko, nie męcz się do zbytku, bo i o nieszczęście nie trudno. Co ukosisz, spocznij. Wybrało się na pogody, jeden dzień nic nie znaczy.

Chłopcy cały dzień pracowali, a Władek wieczorem przy lampce, mając przy boku matkę, układał wiersze swego dramatu. Matczyńskie rozpromienione pomagało mu, jak mogło i umiało.

Wakacje przeleciały, jakby mrugnięcie oczu. Magda bała się wydatków na odprowadzenie synów do miasta, choć okrutnie rada była jechać. Gdy się opierała, Antoś wyjął schowane pięć papierków i położył na stole.

— Żeby się matusia nie bała wydatków, uciułałem te pieniądze na drogę dla matusi i daję je. Teraz niema nijakiego tłumaczenia, jedziemy razem.

Magda zalała się łzami.

— Jedziemy! — wołał Władek — dopiero to będziemy hulać w Krakowie, kawę pić, latać do teatru...

Na następne wakacje chłopcy przywieźli do domu dzieła Słowackiego, kupione u żydów i podarowały je matce.

Upojony Słowackim Władek, choć nie wszystko jeszcze rozumiał, odczytywał głośno strofy poety. Matka jeszcze mniej od syna rozumiała, lecz i ona odczuwała muzykę słowa — i ją brał czar melodji. Czytawali razem po nocach. Powtarzali czytane dawniej i jeszcze więcej się upajali. Władek porzucił trzynastozgłoskowe wiersze i chciał pisać, jak Słowacki, lecz nie śmiał, bał się nawet zacząć...

— Matusiu, my ci te książki zostawimy. Wiele razy cię tęsknica za nami zbierze, czytaj je, to ci się złagodzi i czas prędzej zejdzie i dobre myśli zaczną przyplływać do głowy...

— A toż, dziecko, nie będzie wieczoru, żebym choć na chwilę do nich nie zajrzała i nie piła radości.

— My tam, a ty, matusiu, tu! I może się zdarzyć, że w jednej minucie te same wiersze czytać będziemy i myśleć o sobie. Matusiu, żebym ja tak potrafił, jak Słowacki, tobym oszalał z radości.

— Potrafisz — rzekła matka z mocą — ino mi wyrośnij chociaż do dwudziestu lat, to wtedy mi powiesz: „Matulu, słuchaj, przeczytam ci, a ty sądz, czy nie takie, jak ten Słowacki...”

— Wtedy będę już stary — rzekł smutno Władek.

— Dziecko, w młodość dopiero wejdziesz, ale wtedy twojej matusi krucze włosy srebro przetykać będzie. Gdybyś ty nie miał takim być, jak Słowacki, toby przecie Bóg nie dawał Swego znaku. Władek, nie rozumiesz tego?...

— Rozumiem, ale może Bóg wyratował mnie, żeby matusi nie sprawić boleści. To matusia wy-

prosiła sobie u Pana Boga ratunek. Pewno Pan Bóg żałował matusi, żeby się za mną nie zagubiła...

— Władek! — krzyknęła Magda, wstając — nie przekrecaj, nie fałszuj, woli Boskiej, bo cię ukarze! Nie wiesz, że ciebie Bóg do swoich celów chowa?!

— Nie wiem, bo jeżeli mi każe być takim, jak Słowacki, to niechże mi da taką moc, jak Słowackiemu.

— Da, bo jeżeli ty w trzynastym roku życia takie układasz ramoty, czy dramaty, to zobaczysz, co będzie w dwudziestym. Władek, ty z Panem Bogiem nie wojuj, słuchaj Go i idź śmiało tam, gdzie ci każe. Może będziesz inakszy jak Słowacki, ale to nie znaczy, żebyś był mniejszy od niego.

— Matusiu, ja ino chce być takim.

— Wszystko od woli Boga, może on inaczej planuje, a ty waruj, słuchaj i idź, gdzie ci każe.

Ja chcę za Słowackim iść.

— To go proś, może cię wysłucha, może się ulituje.

— Niech i mamusia prosi, tyle razy ją wysłuchał, mnie do Krakowa wysłał. Może się ulituje. Kiej zaczął, niech kończy.

Matka przyciągnęła chłopaka ku sobie i uściśkała, radość serce jej rozpychała, jakby w niebo wzięta.

— Skończy, skończy i matkę szczęściem do cna strujesz.

Co wieczór siadywali nad Słowackim. Władek czytał gładko z siłą i zapałem, matka sobie wyobrażała, że to jej syna za dziesięć lat wiersze, upajała się ich muzyką, choć niewiele rozumiała.

— Dziecko, a teraz czytaj mi wolno i wszystko dokumentnie tłómacz, niech rozumiem, jak się patrzy.

Władek czytał i na swój sposób każdy ustęp matce tłómaczył. Rozumieli się wybornie. Matce rozjaśniało się powoli, poglądy Władka były na jej wysokości, trafiały zupełnie do jej wyobrażeń i poglądów. Władek zaś czuł, że ma dobrą i pojętną słuchaczkę, mimowoli rozpalał się, aby jej wszystko powiedzieć, co sam czuł i wiedział.

Wieczory przechodziły im rozkosznie, sami wśród ciszy nocnej ze Słowackim. Magdzie się zdawało, że i ona dopomaga Bogu do zrobienia z chłopca Jego chwały.

W początkach jesieni chłopcy wrócili do Krakowa, I znowu została sama z Marysią i mężem, ale i ze Słowackim. Każdziutkiego dnia wieczorem, gdy już wszystko się koło niej uciszyło, otwierała jedno z jego dzieł i czytała po dziesięć i sto razy, aż jej się całość nieznacznie w pamięć wrazała. Zасыpiając, deklamowała po cichu wiersze, snujące się po głowie. W północy była pewna, że je Władek pisał. Odczuwała rytm wierszy i stawiała się na jego muzykę bardzo drażliwa.

W grudniową zimną noc Szymon wrócił do domu zmęczony od piły, rano nie mógł się zwlec, paliło go w piersiach, kolka w boku sparła i nie chciała ustąpić. — Wystraszona Magda szukała ratunku w czarnej księdze, przykładała mu na bok i piersi gorące kamienie, owinięte w płachty; nic nie pomagało. Trzeciego dnia posłała po księdza, wyspowiadał się, przywołał Magdę i Marysię do siebie i przy księdzu powiedział:

— Zrobiłem, co Pan Bóg i ty chciałaś, a teraz ja znowu chcę, żeby grunt i cała ojcowizna została przy Władku. Jeśli Pan Bóg dał nad nim znak, to mu pomoże spłacić Antka i Marynę. Dla ciebie wymowa do śmierci. Chłopak cię nie skrzywdzi, kochałaś go jak świętość. Gruntu ojcowskiego nie wolno mu dzielić i niech cały odda swemu synowi. Napracowałem się dosyć sam, jak jaki sierota. Ale kiej tak Bóg chciał i ty z Nim, zrobiłem, coście chcieli. Niechże mnie teraz sądzi. Błogosławieństwo chłopaków, a wy bądźcie mi zdrowi. Spłaciłem całą kasę co do grosika i Pan Bóg mówi: chodź — idę!....

Odwrócił się; gorączka jakby cudem ustąpiła, zasnął i nie przebudził się więcej.

Magda i Marysia uderzyły w wielką płacz.

Ksiądz odjechał, do izby zbiegły się kumy lamentować i pomagać w płaczu sierotom. Na prośby Magdy, Rakoczy posłał swego chłopaka na stację do Limanowej, aby urzędniki telegrafowali do św. Anny w Krakowie do Porębskich o tem, że ojciec zmarł.

Drugiego dnia przyjechali, okrutnie płakali. Władek się zanosił:

— Gdybym przy tatusiu został, możeby i żył zdrow! Alem ci go odleciał, a on mi jeszcze za to, — wszystko zostawił.

— Cicho! — ofuknęła go matka — nie poprawiaj, marny robaku. Pana Boga. On wie, co robi, wziął ojca do swej chwały, gdy ostatnią ratę do kasy zaniósł. Tam go czeka korona. Nie chciał, aby la nas dłużej siły szarpał. Umarł, jakby usnął,

a mnie się zdawało, że słyszę śpiew aniołów, co po duszę jego przyszli.

Tem powiedzeniem uspokoiła wrażliwego chłopaka.

— Jeżeli matusia słyszała śpiew aniołów, co po duszę tatusia z nieba przylecieli, to mu krzywdy nie robią. A jednak żał mi okrutnie ojca, kochał nas i pracował na nas całe życie, sobie od ust odejmując, ale się przecie zobaczymy — szeptał, ocierając oczy.

Po pogrzebie, gdy byli sami w izbie, matka przemówiła:

— Zostaliśmy sierotami, tak Bóg chciał. A jako sieroty, tem więcej jedno do drugiego przylgnąć powinno, żeby się nie dać biedzie, a zrobić swoje, do czego nas przeznaczenie pcha. Nie ma ojca, nie ma zarobków, nie ma i gotowego grosza. Straciliśmy bez to jakie dwieście papierków na rok. Ziemia jałowa, lasu odrobina, że nie ma go co i ciąć, jedna polana na cztery woły i kto je będzie pasał, kto je sprzeda a inne kupi? Na to trzeba było chłopca. Polaną odstąpię Rakoczemu za osiemdziesiąt papierków i to przecie grosz.

— Odstąpić — poświadczyli chłopcy.

— A jak zabraknie na was, to znowu trzeba z kasy wziąć, naukę musicie skończyć, choćbym wszystko swoje miała oddać.

— Musimy — powtórzyli.

— Więc, Władek, zezwalasz z kasy wziąć?

— Niech tylko opiekun i sąd zezwola. Przecie spłace, jak urosnę. Wywianuję Marysię, Antosiowi oddam jego część, a całe gospodarstwo zostawię matusi.

Odjechali. Magda została z Marysią. Zrobiło się pusto, szaro, smutno. Kobieta z tęsknicy za dziećmi i mężem, nie mogła sobie rady dać. Marysia uciekała do rówieśnic na wieś, praść z niemi, lub pierze drzeć. W izbie zostawała Magda sama, zapalała gaz, czytała chwilkę dla zwyczaju „Żywota Świętych“, a potem chwyciła Słowackiego upajać się muzyką wiersza, nadzieją i dumą, że przecie nizadługo jej syn takie same śliczności pisać będzie. Czytała głośno, muzyka dźwięczała jej w uszach, a w myślach snuły się obrazy, rozbudzone fantazja poety.

Przed północą wracała Marysia, gasiła gaz i obie kładły się do łóżka.

— Że też matusia tak ciągiem czytają bez upamiętania i nie boją się, żeby się w głowie nie pomieszało. Nie lepiej to iść na pogwarę do kobiet, pierze drzeć i rozweselić się?

— I cóż tam usłyszę?

— A w księgach co?...

— Gdy je czytam, zdaje mi się, że z chłopcami gwarzę, z Władkiem, że jego myśli czytam. Miło matce z dziećmi gwarzyć, choć od niej oddaleni ze dwadzieścia mil.

Marysia nie odpowiedziała; dopiero, gdy głowę kładła na poduszkę, rzekła:

— Zwiduje się matusi, bo się zanadto w chłopców wлюбиła, a najwięcej w Władka. To może i niedobrze...

— A niechta, co ma być, to będzie, a co użyję, to użyję.

Jegomość się dziwował i pytał ludzi, dlacze-

go Porębska nie zatrzymała jednego z synów w domu i nie osadziła na roli.

— Któż będzie gospodarzył? — mówił. — Przecie sama baba nie da rady, a tak gotowa chudoba iść na marne.

Ludzie powtórzyli słowa jegomości, Magda wzruszała ramionami.

— Do czego innego przeznaczył ich Bóg! — odpowiedziała i zamilkła.

Ludzie wstrząsali głowami i odchodzili.

Na przyszły rok przez opiekuna i sąd, przy pomocy Antosia, zaciągnęła pożyczkę trzysta papierków.

— Za te trzysta i to, co będę mogła dodawać, musicie skończyć nauki — mówiła.

— Niech tylko matusia płaci kasę, to już my damy sobie radę — odparł Antoś. — Z Władkiem ciężej, ale i on przecie musi ulżyć w wydatkach i choć z jedną lekcję mieć na dzień.

— Niech robi, co chce — szeptała matka — on jakiś inakszy, jak my. I nie przeszkadzać mu, bo tylko Bóg jeden wie, co w nim siedzi, co się okaże i co on potrafi. Nieraz wpatrzony, słucha, a wtedy w oczach takie jakieś dziwne ogniki mu latają, że stoję, jak trusia, boję się odetchnąć, żeby nie spłoszyć myśli, co się w nim rodzą. Taki-ci już jest namaszczony przez Boga...

Jegomość, gdy się dowiedział o pożyczce Porębskiej, przepowiadał:

— Zobaczycie, że przyjdzie jeszcze o żebranym kiju pod kościół. Babę opanowała pycha, żeby synów mieć urzędnikami, a pychę Pan Bóg karze.

— A niech pójdę, gdy swoje zrobię — odpo-

wiedziała Porębska organście, który jej przepowiednię jegomości powtórzył. — Kruchta nie kryminał, żebraczy kij nie hańba. Ale jakoś mi się zdaje, że dzieciska wydrą mi żebraczy kij i utulą!... To i cóż, że pójdę o żebraczym kiju, kiedy syny odchowam, a oni będą dalej iść na chwałę Boga i chwałę narodu. Żebraczy kij czasem zmienia się w berło. Chrystusowi dał trzcinę w rękę, a ta zmieniła się w berło i króluje nad światem.

Organista oczy wytrzeszczył, a kobiety, wzruszając głowami, mówiły do siebie:

— W Porębskiej musi jakiś wielki duch siedzieć i gada przez nią. Kazał jej z chłopaków robić ludzi na podobieństwo swoje, ona się nikogo nie boi, idzie śmiało do mety.

Od tej pogwary coraz większy wyrabiał się we wsi posłuch dla Porębskiej i szacunek. Nietylko dziewczuchy, ale i młode kobiety i parobcy całowali ją w rękę, a starsze kumy w ramię. Co powiedziała swoim wielkiem a dziwnem słowem, przyjmowano z wiarą i szacunkiem.

Chłopcy szli górą w nauce i wzroście. Antoś dościgał ojca; Władek wątleszy, ale z oczu ciskał iskry, jakby od rozpalonych kaganków. Kobiety powszechnie nazywały Magdę: matką Porębszczaków.

Upłynęło parę lat, bieda dokuczała. Nieraz na zapłacenie kasy trzeba było sprzedać jedyną jałowkę, ostatni korzec ziarna, lub korale u żyda w Limanowej zastawić.

Biedowały obie z Marysią, lecz Porębska śmiała się z biedy i pokazując w stronę Krakowa, mówiła:

104
— Tam jest moja radość, moja nagroda, moja pociecha. I coś mi głód zrobi, byle tylko nie zdusił przed czasem.

W maju odebrała od Władka list.

„Przyrzekłem Matusi, że wszystko, co napiszę, naprzód jej pošlę do przeczytania i do poprawy. Czytajże droga moja Matulu pierwsza, popraw i odsyłaj”...

Przytuliła list drżącemi rękoma.

— Ja miałabym poprawiać? o mój robaczku! Czytała dalej:

„Matulu moja! Pierwsza moja praca idzie do druku; czytać ją będzie cały świat. Przygrywka to do naszego ludu. Matulu, karmiłaś mnie jego gwara, a pieśniami ukołysałaś. Ukochałem lud ten przez ciebie, ty byłaś dla mnie jego słonkiem, jego siłą i miłością.

„Ukochałem moją matulę nad miarę, a przez nią i biedny lud. Spójrzij poza siebie dwadzieścia lat. Co za straszna moc w tobie była, spływająca na twoje dzieci. I teraz widzisz, jak tą mocą dzieci twoje żyły, krzepiły się i szły i szły, a ty przed nimi jako duch i jako światło w noc ciemną!... Matusiu, tyś z ludu i my z ludu i dlatego:

„Ukochałem lud biedny nad miarę,
Bom się jego pieśnią wykołysał,
Ukochałem zwyczaję i gwarę,
Którym dziecko jego wyssał”.

„Bierz tę przygrywkę, to twoja, jak wszystko, co we mnie, jest twoje!

Matka otarła łzy i czytała:

„Ukochałem lud biedny nad miarę,
Bom się jego pieśnią wykołysał,
Ukochałem zwyczaję i gwarę,
Którym dziecko jego wyssał”.

Przyzwyczajona do muzyki wiersza Słowackiego, czuła, że w ostatnim czegoś brakuje. Odczytywała po raz drugi, trzeci, myślała. Raptem pochwyciła pióro i napisała drukowanemi literami pod czwartym wierszem:

„Które dziecko z piersi jegom wyssał”.

Odczytała cały czterowiersz i rozśmiała się radością nieznanego jej dotąd szczęścia.

Czyta dalej:

„Co mnie wiąże z ludem jeszcze szczerzej,
Powiem, choć mi wielu wiary nie da,
To choroba, która w nim się szerzy,
Oto wspólna towarzyszka — bieda!”

— Co za choroba! — zawołała. — Lud jest zdrow, ino słabiący padają.

Podkreśliła „chorobę”, napisała „niedola”.

— Niedola, synku — powtarzała. — Zabaczyłeś se o niedoli, ona to przysiadła lud i dręczy go. Niedola, żebyś wiedział, idzie tam, skąd dola ucie-

ka. Zapomniałeś, mój gołąbku, o niedoli... Ale cóż za śliczności wiersze!... Modliłam się, żeby mi Bóg takiego wyrzucił, jakim był Słowacki — i chłopak idzie tym samym gościńcem. Daleko mu jeszcze do Słowackiego, ale bo też to przecie młode piskle... Jak urośnie, przekonamy się, co z niego będzie, kiej on już dziś takie wiersze składa...

I zaczęła znowu czytać głośno, ręce jej drżały ze wzruszenia i radości.

„Ukochałem lud biedny nad miarę,
Bom się jego pieśnią wykołysał,
Ukochałem zwyczaję i gwarę.

Poprawiła:

Które dziecko z piersi jegom wyssał.

Co mnie wiąże z ludem jeszcze szczerej,
Powiem, choć mi wielu wiary nie da,
To niedola, która w nim się szerzy,
Oto wspólna towarzyszką — bieda...

Może ona zaćmiła mi słońko
I przysłania serc biedaczycy głębiny,
Że nie mogę patrzeć tam... wysoko
I od ludzi sam gnębiony — gnębienie.

Może ona zaćmiła mi słońko
I na nerwach zwinęła promienie,
Że gdy chodzę serc ludowych łąką,
Po za światłem wszędy widzę cienie.

Po za światłem cienie widzę zawdy,
Łzy mnie ciągną więcej, niżli blaski,
Lecz do ludu nie schodzę, jak z łaski,
Ja w nim samym szukam tylko — prawdy *).

— Widzisz — szeptała — przydała ci się matka do końca!... Ale bo i wy, dzieci moje, wychowaliście mnie wedle upodobania waszego, że nie jestem kurą, co kaczkę wysiedziła. Wyście poszli na wielkie wody i matki nie rzucili przy brzegu, zabraliście ją ze sobą, że może cieszyć się z wami i jakoś mądrość waszą rozumieć...

Zalała się łzami, robiąc w powietrzu znak krzyża na błogosławieństwo dzieciom.

*) Wiersz Władysława Orkana, poprawiony w ten sposób przez jego matkę, właściankę z Poręby Wielkiej, pod Limanową.

K O N I E C .



259682